



ZESZYT PIĄTY.

ROCZNIK V. — 1872.

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(C I A G D A L S Z Y.)

dy jednego razu stary Hruzda wybrał się sam na targ do Krakowa, przechodząc rynkiem i rozglądając się po mieście, na schodach od winiarni zobaczył chłopaka wyglądającego bardzo pokaźnie i zręcznie, którego na pierwszy rzut oka nie poznał. Chłopiec go nie widział. Hruzda zatrzymał się nieco u węgła, i że go twarz uderzyła, dobrze mu się przypatrzył. Był to — Janek, ten sam Janek, po którym teraz tęsknił, bo mu żaden najety parobczak tak go zastąpić nie mógł, ale wypiękniął, wyrósł i zupełnie miał miejską postać... Twarz dosyć rumiana śmiała mu się, oczki błyszczały i śmielszy niż był kiedykolwiek stojąc w progu rozglądał się po świecie, jakby ten świat miał w kieszeni. — Ależ, daj go katu! — mruknął Hruzda — paniczyk z niego! he! he! jużby mu się pewnie do pługa i radła nie chciało!

Coś, jakby uczucie jakiejś zazdrości ukąsiło go w serce; uśmiechnął się pod wąsem. — No — rzekł — to mi się nie źle udało... Baba moja kłamie przedemną i zaręcza, że nie wie, co się z nim stało, a że wie... to pewna! Ale i ja też wiem, ta i dobrze. Jeżeli teraz kuternoga się zgłosi do mnie, to mu pokażę, gdzie go szukać... A co go mam oszczędzać! Jeżeli chłopskie dziecko, niechaj wraca do tego jarzma jak i my... Będzie się tu w pierzynach wylegał i patrzył się z ganku, jak my w błocie piechoto brodzimy? niedoczekanie!

Hruzda dobrze sobie zanotowawszy kamienicę i zieloną wiechę, poszedł, powrócił do domu i zrazu milczał. Drugiego dnia przy misce ozwie się do baby:

— Co się to tam z tym Jankiem stało?

Hruzdina spojrzała nań i ramionami ruszyła...

— A coż? nieboraczysko pewnie gdzieś na wsi u gospodarza... haruje.

— No, ja myślę, że nie — odparł Hruzda — to nie głupi chłopiec, choć go tu głupim zwali, wybrał on pewnie co lepsze i kędyś miejskie bruki zbija...

— Et! gdzie zaś! — ofuknęła żona.

— Bo mi się nawet zdaje, że ja go w mieście widziałem — dodał Hruzda... no i gdyby teraz kuternoga ów przekłety przybył, wskazałbym, gdzie go szukać.

Baba się porwała łyżką rzuciwszy. — Słyszycie! — zawołała — to byś ty go oddał temu łajdakowi?..

— A dlaczegoż łajdak? czy że dał pięćdziesiąt talarów, com sobie gospodarstwo poprawił?

— A miałbyś ty te pięćdziesiąt, gdyby nie chłopiec?.. i za to go chcesz dać?..

— Coż to, ten go ma zgubić, co go ratował? — spytał Hruzda.

— Wiesz że ty, czy on go ratował czy gubił oddając na cudze ręce? Człowieku... rozgniewana poczęła Hruzdina... toć pewno nie czysta sprawa...

Hruzda zmilkł...

— Co mam kłamać — odezwała się gospodyni z gniewem — otóż wiedziałam i wiem, gdzie chłopiec jest, ale jeżeli mu się co złego stanie... Hruzda, jak Bóg żywy... ja... ja... nieszczęśliwym cię uczynię... zgubię siebie, ciebie, chatę, wszystko... Słyszysz! klnę się na Bóg żywy!..

Chłop też się rozsierdził. — A to jęzda! — zawołał... a to jęzda... Chłopiec ci miłszy niż ja i dom...

— Chłopca pan Bóg na opiekę naszą zdał... Rób jak ci się widzi, ale pamiętaj, com rzekła... mnie życia nie wiele już zostało... tak z niem, jak bez niego.

Po tej rozmowie Hruzdina markotna poszła z płaczem do alkierza, a Hruzda się zamyślił... i pociągnął do szynku... Upłynął jakiś czas, kuternoga się nie pokazywał. Hruzda znowu na targ pociągnął do Krakowa... Miał trochę owsa na sprzedaż, kupił go właśnie woźnica jakiegoś duchownego i kazał wieźć na Wiślną ulicę. Gospodarz pociągnął zwolna... Po drodze... jakby na umyślnie... nawinał się, kto? kuternoga... Hruzda czapkę zdjął.

— O! toście wy tutaj! — zagaił szlachcic — a z czemże?

— Z owsem, ale już sprzedany...

— Co tam słyhać?

— Głucho, nie ma nic.

— Chłopiec się nie znalazł?

— Gdzieby zaś! gdzieby... ani śladu! Ino mi się zdaje, że jak był głupi Janek ciekawy... pewnie musiał do miasta pociągnąć...

— Zkądże wam to? a mówiliście przecie, iż na wsi pewnie jest?

Hruzda ramionami dźwignął i zamilkł.

— Macie jaką poszlakę?

Gospodarz konia zaciął, pokłonił się i skończył zwykłem: Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Ale kuternoga szedł za nim... zadumany... jakby wspomnienie chłopaka ocuciło coś mu w sumieniu.

— Gospodarzu... hę? gospodarzu! — zawołał nań — oto tu szynczek... chodź... kieliszek wódki na chłodny czas nie zawadzi...

Miał to do siebie Hruzda, że wódce oprzeć się nie mógł, obawiał się jej, a ciągnęła go... Koń był nawykły stać spokojnie i drzemać. Szynczek pod Trębaczem otwarty nęcił do siebie.

— Ale bo, chodźcież — wołał kuternoga — wódka słodka a tęga... powietrze wilgotne...

— Wiecie co, dobrodzieju — odparł Hruzda — kiedyście już na mnie tak łaskawi, o trzy kroki ztąd owies zsypię i przybiegnę, bo by mi go kto jeszcze z wozu gotów ściągnąć.

— A no — ja tu na was poczekam...

Stało się jak chciał Hruzda, który owies oddawszy, spokojny powrócił. Weszli do szynku pełnego a gwarne, jak to zwykle bywa w dzień targowy. W jednym końcu grał góral na kozie, w drugim cygan brząkał na drumli,

ludu ścisk był wielki, zapijali litkup jedni, drudzy się spotkawszy częstowali... Ci, co zaczęli zawczasu, już śpiewali, młodych kilku parobczaków nie mogąc tańcować, bo nie nie było ani gdzie ani z kim, tupali nogami w pośrodku izby. A tłok był około szynkowni, że kieliszków szynkarz nastarczyć nie mógł. Na znak jednak kuternogi natychmiast zjawiała się butelka i znalazło miejsce... napili się po kieliszku... Staremu wódka smakowała jak nektar, płaśniała językiem... Kieliszek był na oko niby okazały, ale z zielonego szkła, gruby i trzymał tyle, co dobry naparstek... Mruknął kuternoga.

— Po drugim! a no coż? po drugim, takich dwa ledwie za jeden dobry stało... a Hruzda do pół kwatereka był nawykły...

Przysiedli w kącie na ławie... Cóż tam, urodzaj? jak? — A no, niezgorzej... — Chwalić Boga... Chłopca wam pewnie jednak żal?... — Co prawda to prawda, była pomoc w gospodarce... Bał się mnie jucha i pracował, bo co moja baba, to go na nic psuła... No! już i matka lepiej niepotrafi rodzona...

— I jakże by też ona uspokoiła się nie wiedząc o nim! — dodał kuternoga...

Zaśmiał się Hruzda szeroko...

Wypili po trzecim kieliszku...

— Ona wie? — spytał szlachcic.

— A juścić! a juścić! — potakując szepnął stary — wie. A jeśli wam wiedzieć się chce... ino pilnujcie, jak we środę idzie na targ w rynku. Zobaczycie, że pewnie gdzie zajdzie, albo do niej jaki chłopak się zgłosi... i... zatulił sobie usta śmiejąc się, czapkę nacisnął. — Ja nic nie wiem!..

Jeszcze się wódki raz napili na pożegnanie i rozeszli, a gospodarz śpiewając wrócił do domu. Hruzdina była kobieta rozumna... Zobaczywszy go podchmielonego wzięła na egzamen, nim się wytrzeźwił. Owsa było tyle, cena taka... pieniędzy zostało dosyć... a za cóż wódki kupił? Hruzda pochwycony indagacją w stanie błędnego rozmarzenia rozgniewał się i zawołał: — Co ty mnie stara czarownico będziesz słuchać spowiedzi? Piję co chcę, z kim chcę... częstował mnie przyjaciel...

Rozgniewawszy się więcej jeszcze, Hruzda wygadał się, że z kuternogą spotkał się i rozmawiał... Nazajutrz rano stara nie opowiedziawszy się mu, pobiegła do Krakowa... obawiając się zdrady i chcąc chłopcu oznajmić, by się miał na baczności. Tymczasem los tak rzucił, że właśnie ten jej pospiech i niepokój Janka miał zdradzić... Kuternoga wyjeżdżał z Krakowa okutany płaszczem, z czapką na oczach, i Hruzdina wcale go poznać nie mogła, on ją jednak najrzał i konia zaraz nawrócił... Jechał opodał ostrożnie aż do samego rynku i w rogu ulicy Floryańskiej przystanął. Ztąd doskonale widział, jak kobietą poszła pod zieloną wiechę, jak do niej chłopak wyszedł z włosami jasnymi, w kurtce siwej, i jak na schodkach stojąc

z sobą rozmawiali. Ufając w to, iż go kobieta nie pozna, zakrywszy twarz lepiej jeszcze, podjechał z koniem pod kamienicę i zwolna ją mijał, aby się chłopcu przypatrzeć, bo pomyślał sobie, iż tam u kupca nie jeden taki być musiał.

Z pod czapki oczy wlepił w Janka, a w miarę, jak mu się dłużej przyglądał, bladł jak ściana... drzeć począł, lejce koniowi puścił i nie oprzytomniał, aż pominał wiechę i rozmawiających. Znać widok dziecka tak go wzruszył, iż zamiast jechać, jak miał zamiar za miasto... koniowi pozwolił wrócić na ulicę Wiślną i... wjechał tu do bramy, która się za nim zamknęła...

Kto by był mrużenia jego podsłuchiwał... dosłyszałyby może wyrazów: O! straszne, niepojęte podobieństwo... nie! nie! jego ztąd trzeba się pozbyć, bądź, co bądź, tak czy owak... Uchowaj Boże, ona go spotka... Panu się nic nie stanie... a mnie! Szubienica!! nie... sprzątnąć go trzeba... nie ma rady...

Materski cudem jakimś żył tak długo na świecie, nigdy go bowiem nie opuszczała gorączka... Wstawał i ledwie się przeżegnał, już się musiał gniewać, niecierpliwiał się dzień cały, krzyczał, łąjał, biegał, a gdy wieczorem ostatni gość wyproszony za drzwi wyszedł wlokąc nogi za sobą, trzeba było po kątach zbierać rozespanych chłopców, porzucane butelki, liczyć szkody, dochody i kreski na deskach kredytowe, tak że pacierz wieczorny nawet bez obrazy bożej się nie obszedł. Materski znużony usypiał, a we śnie marzyły mu sięienne jego znoje i utrapienia... Biedaczysko nigdy nie spoczął... Dom jego składał się z jejmości, która w dobrej szkole uczona, tak była nie-szczęśliwą złością jak on; z syna, który z domu uciekł i gdzieś na Węgrzech losu szukał, podobno w parze z jakąś towarzyszką, z którą mu się ożenić nie pozwolono; z dwóch sług płci niewieściej i dwóch chłopców urwiszów oprócz Janka... Pierwszych dni, gdy się pod zieloną wiechę sierota nasz zaciągnął, rozglądał się zaraz w całym gospodarstwie... do roboty mu jeszcze nie dano nic. Zapro-ważony do jejmości wytrzymał indagacją, ale miał czas się rozmyśleć, co począć było potrzeba. Nadszedł w chwili wolniejszej sam Materski... Rozpoczęła się instrukcja, co, jak, gdzie, kiedy czynić miał Janek. Wszystkiego wysłuchał.

— Za pozwoleniem jegomości — rzekł — moja historia krótka, ale ja ją powiedzieć muszę jeszcze raz. Jestem siorota, ks. kanonik Hodowski trochę mnie poduczył... ja się chcę uczyć. Służyć jegomości będę wiernie, poczciwie, muszę jednak mieć swoją wolną godzinę... Zapłaty nie chcę żadnej... dacie mi jeść i tyle.

— Czegoż ty się będziesz uczyć? — spytał Materski — czego? czego? czego? czytać i pisać? hę? mistrantury? Cizyोजना... beków kościelnych? co to ci plechy się chce? co?

— Chce mi się coś umieć i na ludzi wyjść — rzekł Janek.

— Toś głupi, kochanku... ucz się grosz robić, a wyjdiesz nie tylko na ludzi, ale nad ludzi... ot co! — zaśmiał się Materski... Cóż to, ja cię będę trzymał, żebyś ty mi syllabizował w piwnicy?

— Nie bój się jegomości, gdzie dozoru będzie potrzeba, ja nie zawiodę... zobaczycie...

— Coś on się strasznie zawczasu chwali! — szepnęła Jejmość.

— A no, wszelako spróbować trzeba — odparł Materski... Pokazano Jankowi, co miał czynić, i wzięto go na próbę. Po trzech dniach kupiec przyszedł do żony.

— A co jejmość mówisz o Janku?

— Licho go wie, co z tego będzie, nadto rozumny...

— I nadto poczciwy — dodał Materski — jeszcze takiego nie spotkał; szpiegowałem go, kropli do ust nie weźmie, grosza pilnuje, chłopcy go się boją, dziewczki zdala obchodzą... Jak on tu pobędzie, gotów i nas zawojować...

— A no dalej próba niech idzie...

Szła tedy próba dalej. Janek do dnia chodził do kościoła i do starego bakałarza, z którym u kanonika się poznał, po zamknięciu sklepu nocą przy ogarku uczył się... kluczków z rąk nie puszczał, niewidziany ład zjawiał się w handlu...

— Cóż jejmość mówisz o Janku? — spytał Materski po kilku tygodniach...

— Co aspan mnie probujesz i zachodzisz z przełaju — ofuknęła się jejmość — co tu gadać, to porządny chłopiec i rozumny. Trzeba mu zapłacić i oszczędzać go, aby nie poszedł...

— No, to prawda — mruczał Materski — a co prawda, o to widzisz jejmość, ja się sprzeciwiać nie będę, chłopiec Utsyk... jak mówi ksiądz profesor, Utsyk... ale on tu długo nie pobędzie, jemu sutanna pachnie.

— Tylko jegomości na niego bez przyczyny, jak to umiesz, nie krzycz, nie wyzwieraj się.

— Tylko jejmość go nie łąj i nie skąp mu jadła...

— Ale bo to ty...

— Ale bo to wasani... Już się poczynali jeść państwo Materscy, wszedł Janek z kluczami i wszystko ucichło. Wstydzili się go... Chłopak wyglądał jasno, pogodnie, młodo... szlachetniej niż to, co go otaczało... i dziwnym urokiem twarzy, głosu, wejrzenia panował prawie tym ludzom, którym służył. Jejmość mu się uśmiechnęła, Materski go po ramieniu poklepał... Przyniósł właśnie pieniądze, obrachował się z nich i nie bawiąc odszedł... W handlu na prawdę on teraz rządził. Materski tylko wziął na siebie policją nad służbą i zabawiał się kuksa-niem jej po kątach.

Tego dnia jakoś bardzo było w izbach pełno...

Janek zwykle siadywał w zakomarku pod okienkiem... Nad jego ławką była framużka i w niej szafeczka, tę na-

użytek chłopca oddał p. Materski. Oprócz innych drobno-
stek Janek w niej trzymał książki, a gdy w handlu nie
było co robić, i gości brakło, siedział tu na straży i ko-
rzystając z czasu — uczył się. Z ławki swojej miał oko
niemal na całe swoje mieszkanie i ztyłu na służbę a
skład butelek... Chłopcy nie mogli przejść, żeby ich nie
zobaczył... Niekiedy, gdy brakło usługi, wychodził i sam
pomódz drugim... Znali go już niektórzy zwykli goście p.
Materskiego i polubili wszyscy. Uskarżali się tylko, że nie
skory był do gawędy, a przy winie gawęda bywa pilną
potrzebą. Czemby człowiek wino i butę jego przemęł,
gdyby nie językiem? Wszystko by to w środku zostało i
mogłoby w końcu zaszkodzić. Właśnie Janek siadł w swoim
kątku klucze powiesiwszy u pasa, gdy w progu zjawił się
mężczyzna siwy, barczysty, twarzy ponurej, brwi nawisłych,
opierający się na kiju z siekierką... nakuliwający nieco na
jedną nogę. Wszedł jakoś krokiem niepewnym, wahając
się niby, czy ma próg przestąpić, znać tu niebywały, bo
nie wiedział, gdzie sobie miejsca ma szukać... Obejrzał się
dokoła... przy stoliczkach, gdzie już siedziało osób kilka,
miejsca nie zajął i pociągnął do drugiej puściejszej izdebki.
Los tak zdarzył, że chłopcy byli wszyscy zajęci. Janek
więc podszedł spytać go, czego sobie życzy... Mężczyzna ów
podniósł głowę, oczy w niego wlepił, patrzył długo milczący..
usta mu się otwały niby mimowoli... głowa trzęsła... głosu
brakło. Znać był zmęczony. Naostatek zebrał się jękając
na słowo.

— Proszę... asana... butelkę starego miodu...

— Starego?

— Jak najstarszego... Janek wyszedł, bo musiał zapalić
kaganek i zniżyć do lochu, do którego w trzeciej izbie
były wdół wiodące wprost schodki. Powrócił wkrótce ze
starą butelczyną, i z lampką wraz zaniósł ją owemu jęgo-
mości, który żadnego poruszenia jego, żadnego kroku nie
przesłepił... wciąż nań patrząc jak w tęczę...

Gdy butelkę na stole postawił... chciał odejść, ale
stary ozwał się: — Należy mi...

Janek powoli czarny ów napój, gęsty, bursztynowo-
świecący łać zaczął.

— Hm — rzekł przybyły — coś to tu asan nowy...
bom go nie widywał...

— Tak jest... od niedawna tu...

— A imię aspana? — Janek...

— Z kądże to z miasta? ze wsi?

— Jestem w mieście już drugi rok...

— A dawniej?... — Byłem na wsi nie opodal.

— Gdzie? u kogo? — Czy to panu na co potrzebne —
zapytał chłopiec.

Stary ramionami ruszył. — A po co mi to ma być
potrzebne! Tylko się dziwuję, że tak porządnie wygląda-
jący chłopak zaprzął się do służby u tego krzykuna i
hałaśnika Materskiego. A to ci pokój nie miły.

Janek się uśmiechnął...

— Jak nie ma za co, p. Materski nie krzyczy...

— A to by był cud, żeby mu się gęba zamknęła...

— Przepraszam pana — odparł Janek — ale z kądże
o tem pan może wiedzieć, kiedy tu nigdy u nas nie bywa...

— Bywało się dawniej!

To mówiąc z pod brwi krzaczystych spojrzął nań
gość, pociągnął miodu i splunął.

— Cóżes to ty mi dał? — rzekł — miód? ale zdębiały...
ja takiego nie lubię...

— Miał być bardzo stary...

Materski już zważawszy coś nadbiegł.

— Co tam takiego? he? Co pan każe? Co? złe? omyłka...
czy nie w smak?

— Omyłki nie ma, samem winien... miodum chciał
starego, dali mi tego chyba, co go król Piast warzył, bo
gębę ściąga jak drutem.

Materski butelkę porwał, powąchał: A no! — rzekł —
jeszcze się pan skarży?

— Wolałbym słodszy...

— Hej Janku, butelkę zamknąć — zawołał kupiec —
przyjdzie ksiądz scholastyk, on takie lubi... a jegomości
dać z pod drugiego okna, pękata...

Spełnił Janek polecenie i poszedł.

— Z kądżes to panie Materski — zapytał przybyły —
napytał takiego zręcznego chłopaka?...

— A! to panie perła! — zawołał kupiec — ale sza!
żeby nie słyszał. Znać że w rygorze miejskim się wychował,
sierotka... takimom nie miał jeszcze...

— Co za jeden?

— Bóg go wie — mówi że ze wsi, ale to nie chłopska
krew — dodał Materski — nie. Ja się na tem znam.
Powiadam panu, że to śmiech jest... ale ci starsi ludzie,
co tu bywają, wszyscy jeden w drugiego okrzykują, że
jak dwie krople wody podobny do nieboszczyka wojewody.
Nawet brodawkę, którą miał tamten pod lewem uchem, i
ten ma... cha! cha!

Przybyły gość jak nieprzytomny zerwał się z sie-
dzenia i ledwie dał gospodarzowi dokończyć.

— Ale co znowu! głupstwo! imaginacya! bałamuctwo,
paplanina! Znałem nieboszczyka, najmniejszego podobień-
stwa. Jeden zmyślił, a drudzy za panią matką pacierz po-
wtarzają... Najmniejszego, powiadam Wam, najmniejszego
podobieństwa!

— Przecież ludzie różni.

— Ludzie głupi! co to to jest! — ofuknął przybyły —
to nie ma najmniejszego sensu! Cóżby z tego wnosić
przyszło? że wojewody dziecko? Ależ to był człek czysty
i znany, a gdy zmarł temu lat, jeżeli się nie mylę, czter-
naście, świeżo się był ożenił... Chłopiec zaś...

— Chłopiec właśnie w tym wieku — rzekł Materski —
Ale, proszę pana Brzeskiego, wszak tak podobno mam honor...

Nieznajomy głową kiwnął, skłonili się sobie... Proszę pana Brzeskiego, kończył kupiec, czy po wojewodzie zostało potomstwo?..

— Był, był ponoś synek... tak — bąknął Brzeski — ale zaraz w parę lat umarł...

Zatrzymała się rozmowa... Brzeski jakby mimowoli mruknął: Gdzież ta brodawka pod uchem?

Właśnie Janek wchodził z pękata buteleczką, i gdy ją odkorkowywał, gość miał czas przypatrzeć się brodawce, która była bardzo widoczna.

Materski cały się zajął zaprezentowaniem miodu... otarł lampkę, nalał powoli i podał ją tryumfując Brzeskiemu.

— Spróbuj pan... to miód kapucyński — rzekł — ale racz wniknąć w treść tego napoju, ambrozyi... wiosną czuć, lipą, młodością, a mimo to stary, wytrawny... i nic nie stracił z gęstości swej, nic z barwy, nic z woni, tylko siły nabrał... Chorych uzdrawia, umarłych wskrzesza...

Brzeski niosąc lampeczkę do ust uśmiechnął się...

— A co? a co? — dodał Materski. — Mówią o winach tokajskich i innych, że to perfekeya napojów, a ja powiadam, że nie ma jak miód, tylko nie taki, jaki dziś pertolą... W klasztorach to miody były... ej... panie...

W tej chwili brzęknęło coś potłuczonego w drugiej izbie, i Materski ścisnąwszy pięście wyleciał wnet spełniać obowiązek swój karny. Brzeski został sam, bo Janek był odszedł, siedział jednak tak, iż chłopca mógł widzieć i wpatrując się w niego o miodzie zapomniał...

Kiedy i jak wyszedł, nikt nie spostrzegł, znalazła się butelka zaledwie poczęta na stole, a Janek ją nanowo zakorkowawszy, o nazwisko gościa spytał gospodarza, doniósł o niedopiciu i zachował resztę dawszy jej na szyję znaczek.

— Myślałem zawsze — rzekł Materski — iż to jest rozumny człek ten Brzeski, a to osiek. Jakże takiego miodu nie dopić... porzucić! Gdzieindziej by to gawiedz wychłapała i tyle... Żeby nie Janek, toby ten święty miód poszedł na paskudne gęby... Toć grzech...

W dni trzy potem nad wieczór zjawił się nakuliwając pan Brzeski, tylko już nie sam... Z nim razem przybył drugi mężczyzna słusznego wzrostu, pańskiej miny, przy szabli, lecz tak okutany i kołnierzem zakryty, iż mu tylko nos czerwieniejący widać było...

U Materskiego trafiło się różnie, miał gospodarz za zasadę szanować incognito... Nie jeden dygnitarz, gdy się chciał napić co dobrego, przysunął się tak o szarej godzinie, zawiązany. Materski nigdy nie śledził, kto pił, byle wypiszy zapłacił... I tym razem choć popatrzył trochę, ustąpił z drogi... poszli dwaj ichmość do bocznej izby... Janek za nimi... poznał zaraz p. Brzeskiego...

— Pan tu ostatnią razą prawie całą butelkę miodu zostawił, czy mam ją podać? — spytał...

Co Brzeski odpowiedział, nikt pono nie słyszał, znać mu się język plątał... Oba przybyli zapatrzywszy się na Janka stali gdyby osłupieli. Ten ich wziął za napitych. Powtórzył pytanie, kiwnęli głowami... Janek wyszedł... Zaledwie znikł, słuszny mężczyzna padł na ławę i za głowę się pochwycił.

— Prawda jest — zawołał — prawda, żyw nieboszczyk! To nieszczęście... żyw... on tu pozostać nie może... Róbcie co chcecie, bierzcie co chcecie... Pomsta to Boża chodząca. Struchlałem zobaczywszy go.. Brzeski.. dnia jednego nie można zwlekać.. ludzie już gadają.. sprzątnąć go należy.. sprzątnąć...

— Na miłość Bożą! cicho — przerwał Brzeski...

Janek wchodził właśnie z uśmiechem stawiając butelkę i lampeczki. Oba rozmawiający zamilkli jak przerażeni znowu... Brzeski znać pierwszy ochłonął.

— No — rzekł do chłopca — a jakże tam waszeci z Materskim?..

Zdziwiony nieco chłopak rzekł: — A cóż, dobrze mi tu jest...

— Ale byś asan czegoś lepszego wart — dodał Brzeski zwolna.—Masz przystojną dosyć postać i znać, żeś roztropny.. poszedłbyś na dwór, wzięliby cię dla urody, i czegoś byś się dosłużył...

— Na dwór? — zapytał Janek — na jaki?

— Na pański! Życie tam lepsze niż tu...

— O! ja się z miasta nie ruszę — rzekł chłopak — bo ja tu uczyć się mogę i uczyć.

— Hę? czegoż? — zdziwiony podchwycił Brzeski, bo drugi pił i milczał.

— Łaciny, a po trochę tam i innych rzeczy...

— I na co ci to?

— Proszę pana, ja nie wiem — zawołał Janek — ale mi się zdaje, że człowiekowi nauka, jak roślinie słońce potrzebne. Dusza się do niej rwie...

Goście spojrzeli po sobie zdumieni.

— Bałamucisz, moje dziecko — po chwili dorzucił Brzeski... czasu, który na naukę stracisz, użył byś lepiej, nauka chleba nie daje, a na starość...

Janek się cofnął do progu, jak gdyby rozmowy unikał, i rad był ją skończyć, skłonił się i wyszedł... Gdy się drzwi za nim zamknęły, mężczyzna, który siedział w ciemnym kącie zawiązany, wstał jak sprężyną rzucony i począł wielkimi kroki chodzić po izbie, trąc czoło i rwąc suknie na sobie; nie mówił nic, ale pasował się z sobą tylko... Brzeski nań patrzył niespokojny...

— Niech no pan siada... niech pan siada... nie trzeba nigdy tracić przytomności...

Zdawał się nie słyszeć i nie słuchać drugi.

— Z grobu wstał! — zawołał — on! żyw! Jego głos... mowa jego... oczy... twarz... Brzeski precz mi z nim!..

— Cierpliwości! — szepnął Brzeski — na miłość Bożą, cierpliwości.

— Płać... szafuj pieniędzmi.. rób co chcesz... Dostyc, aby ona go zobaczyła... ona, a wszystko się odkryje... srom, hańba... miecz katowski... Brzeski... z tym świadkiem jednego dnia żyć nie mogę...

Chmurny, milczący Brzeski miód popijał, postawił szklanke na stole, wstał, zbliżył się i ujął za rękę rozgorączkowanego towarzysza...

— Zrobię, co zechcesz — szepnął cicho... a no krwi, ja krwi nie przeleję... nie! za nic! niewinnej krwi na sumieniu mieć nie chcę, nie... Użyj pan kogo chcesz, nie mnie, nie mogę...

— Milcz! — gwałtownie przerwał uderzając go w piersi ręką towarzysz — milcz! któż ci o krwi mówił? kto? milcz! nie chcę nic, słyszysz — nic, obejdę się bez twej pomocy...

Odwrocił się wzgardliwie i przechadzał znowu, Brzeski powrócił na siedzenie.

— Słuchaj pan — rzekł surowo... kraj szeroki... jest przecie go zadziać gdzie tak, by nie wrócił... Co tu myśleć wiele... porwać łatwo, uwieść można i zamknąć... Masz przecie zamków dość i ludzi wiernych dosyć: alboż pierwszyna więzień w lochu? wszak mógł się porwać i popełnić zbrodnię, któż karać ma poddanego, jeżeli nie pan jego?

— Ani pomocy twej ani rady nie potrzebuję — sucho ozwał się drugi — milcz... dość tego!

Burząc się tak przeszedł jeszcze izbę kilka razy i padł na ławę zwiesiwszy głowę... Brzeski podniósł się, wziął go za rękę i pocichu coś na ucho szeptać mu zaczął... Rozmowa głośna zmieniła się w niedosłyszane mruczenie... które trwało długo, aż oba ochłonęli i na pozór zgodni... zamilkli... Janek zajrzał... Oczy obu ich podniosły się na niego... Kazano dać flaszę wina, i już handel Materskiego miał się zamykać, gdy po długich konszachtach dwaj goście zakrywszy twarze wynieśli się z niego pocichu...

(Ciąg dal. nast.)

PAN BOLESŁAW.

SZKIC POWIASTKOWY

PRZEZ

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

I.

Lipowy chłódek gdy czoło rozpieści,
Myśl mdłą odświeży i serce pokrzepi,
A wiatr w lipowych gęstwiach zaszeleści
I ponad głową tak liście rozszczepi
Że dumne słońce z pod lipowych stropów
Jak duch, zakłęte przebiwszy podwoje
Rozbudzi w cieniu drzemiące powoje
W oczy im miecąc kłos promiennych snopów;
Po których muszka, ta blasków pieszczotka,
Korowód swój powiedzie w krąg eterów...
Gdy cię owonie owa wonność słodka,
Którą z pasiecznych wiatr zachwycił słoï,
Gdy ptasząt gwarna swadźba się zaroi
I gdy twą duszę ujmie i rozbroi
Harmonia jakichś niezbadanych szmerów,
A słowik z bzowych zakwili szpalerów
Smętny, że nie ma róży za węzgiłowie...

Och! wtedy pewnie ta dusza ci powie
Że zrozumiała już gęśl czarnoleską!
Że zrozumiała tęsknotę niebieską!

A gdy zapragniesz uwięzić ją w słowie,
I gdy zapragniesz ze swego zachwytu

Wyspiewać światu tę legendę bytu
Którą pojąłeś z przyrodą w rozmowie;
I gdy ci pierwszą ku pieśni podnieta
Jest czar ten, może ty będziesz poetą!

II.

Doświadczył pan Bolesław takich wrażeń
Nim nawet jeszcze przebył ów most z dziurą
Który w szkolnictwie naszym zwa „maturą“
Duch już wyrostka od szkolnych wydarzeń
Szedł niezawisłe, swą własną naturą
Tropiąc bieg bytu, u którego kresów
Stał (oczywiście) przybytek wspaniały,
Królewien pełen, tęcz i aloesów.
Cóż szkoła?! wszakże takie ideały
Nie popasają na jej żmudnej ławie...

Nasz pan Bolesław bez opieki prawie
Wyrósł na świecie, tym, co śni i myśli:
Matki — ach, matki on nie znał, biedactwo!
Z ojca, bywało, błąd tylko kreśli
Obraz. W dzieciństwie zdany na tułactwo
I pośród obcych wzrastający ludzi
Wyrósł, jak właśnie to niebieskie ptactwo
Ewangeliczne, które się nie trzodzi

Troską o dziś i jutro, lecz w zachwycie
Bezbrzeżnym topi myśl o ziemskim bycie...

Z ptaszkami też Bolkowi najweselej:
Jak dusze, których w życiu nie ośmieli
Ciepło matczynych spojrzeń i pieśczoła,
Zamknął się w sobie wczesnie nasz sierota.
Dziecinnych zabaw on prawie nie dzieli;
Wśród łąk samotnych zbiera go ochota
Wysnuć z duszy takich szat wzorzystych,
I tych błękitów nad niemi przejrzystych,
I melodyjnych w powietrzu rozdźwięków
I tych tysiącznych podłonecznych wdzięków.
Więc po dniach całych głębin błękitów
Rozmierza okiem sierocej zadumy,
Myśl młodą waży z orły u zenitów,
Uczuciem tęsknem drzew pochłania szumy.
Może w obłoku, wśród orłów gromadki
Obraz mu jawi się nieznaney matki?
Może to głos jej tak w liściach szeleści?
Taki sierocie szum ich pełen treści!
A gdy wśród nocnych rozgwarów słowicznych
Sam na sam z duszą się znajdzie i ciszą,
To niby echa chórów tajemniczych
Do snu go pieśnią matczyną kołyszą...
O tak! sierota nasz w sercu przyrody
Odnalazł, w czym tu był upośledzony,
Odnalazł błogi ów raj utracony,
Owe anielskie dla serc ludzkich gody
Zamknięte w słowie: macierzyńska miłość!...

I tak się wszczęła serdeczna zażyłość
Bolka ze światem przeczystych zachwytów
Co każą gwiazdom tkwić wśród mlecznych szlaków,
I każą kwiatom tęsknić do rozkwitów,
I melodyjnie stroją piersi ptaków,
A duszy, niby w genetycznych runach,
W tęczach, błyskawic pręgach i piorunach
Zdradzają źródła jej ziemskiego losu:
Myśl, nurtującą otchłanie chaosu!

III.

Pierwszy Bolkowej duszy fiołek skromny
Znienacka wykwił; tak podobno bywa
Że człowiek wtedy prawie nieprzytomny
Gdy dusza pierwszy kwiat natchnienia zrywa...
Było to w ferye letnie, o zachodzie
Słońca, w samotnym, lip pełnym ogrodzie.

Miał pan Bolesław bowiem opiekuna —
Po matce był to jakiś tam „kól w płocie“ —
Szlachcic, co całe dziś stał do pioruna,

Hołdując wiernie wąsom i kapocie.
Piaś z serca i zwyczaj; żołnierz głośny
Niegdyś pod Lipskiem, Ostrołęką, Wola,
Lecz na rycerską sławę niezadrośny...
Więc choć sąsiedzką odzian hyperbolą
W szlify i w zasług wojskowych blask szumny,
Pan Michał o pułk malowany nie stał,
Virtuti chował pod kluczem — do trumny,
I na szwadronie swoim rad poprzestał.
A miał dwie córki własne: rówieśnice
Sieroty Bolka. Jak majowe dzionki
Jaśniała starsza; młodszej blade lice
I błękit oka mogłyby skowronki
Mylić w ich drodze pod niebios sklepienia,
I hymn wyłudzać od nich uwielbienia...
Obie zaś miały dwie możne patronki
Przed Bogiem, oprócz ojczulka na świecie:
Annę i Maryę.

Naszemu poecie

Co wzrósł z tym dzionkiem majowym, i z ową
Skowronków łatwych do hołdu królową,
Nic nie przemawia z ich dwu wdzięcznych liczek
Nad obraz miłych i dobrych siostrzyczek,
Z którymi nieraz w pacholęcej sprawie
Było się tak i owak, bratem prawie,
W wspólnej uciesze z pająka zmyślności,
W wspólnej żałobie na muszek pogrzebie,
Z którymi w czasach pierwszej uczoności
Gwiazdy liczyło się na ciemnym niebie!..

Minęły dawno pacholące lata,
A pan Bolesław na obie dziewice
Spokojnem patrzy zawsze okiem brata;
Lecz że tych różnych dwu dusz tajemnice
Pojął w pożyciu z niemi od młodości,
Zdradza więc także nierówne skłonności
Ku swym siostrzyczkom: Przy Annie jest śmielszy,
Otwartszy jest z nią, a nawet weselszy
Pod dobrym wpływem jej łagodnych oczu;
Spojrzeniom Maryi zaś, prawie niechący
Uchodzi, albo staje na uboczu —
Razi go promień tych spojrzeń gorący,
Jak gdyby dziwnej nabawiając trwogi
Że z tych błękitów, świecących czarownie,
Co chwila piorun spaść może złowrogi
I ciche serce zapalić, jak głównię...

Anna sierocie była niepojętą
Istotą. Dzieckiem, gdy powieki mrużył
Do snu, już widział twarz jej uśmiechniętą
Nad swą kołyską... Jej anioł mu służył

W przygodzie nieraz, i był mu zachęta
Do czynów dobrych... Jej on się wynurzył
Z pierwszych swych marzeń pod lipą wysnionych,
Pierwszych swych rymów dumne pióropusze
Jej on ukazał w słowach zaognionych,
A ona — rzekła mu: „Piękną masz duszę!“

IV.

Pozbył się Bolek matury fatalnej,
Trzeba już było obrać zawód pewien;
W tym celu złożył pan Michał sejm walny,
W którym sam zasiadł wśród swoich „królewien“,
Jak swe nazywał córki; a na boku
Stał sam bohater, czekając wyroku...

Opiekun Bolka, całem sprzyjający
Sercem sierocie, w którym widział syna,
Radził „fach“, zawód „chleb biały“ dający —
„Tylko uchowaj Boże, medycyna!
„Bo z miksturami rzecz, panie, nieczysta,
„I jeśli chybisz... o tycieńko, miarki,
„Mniej na niej ludzkość, bies tylko skorzysta!
„Ano więc jąć się możesz gospodarki,
„Z duchownym wcale też nie zgorsza stanem,
„Lub... et, wiesz Bolku co? bądź ty ułanem!...“

Urwał — bo spostrzegł, że myśl go uniosła
Jak niegdyś Kary wśród krwawych pól Stoczka.
„Hej! rycerskiego gdzie szukać rzemiosła
„Dziś? gdzie ułana?! Jednego nam „Sroczka“
„Zjadła... ostatni legł w okopach Woli,
„I nie masz ich już! nie masz!... Och, to boli!“
I otarł łzę pocziwiec, a po chwili
Już dodał tylko: „Bądź czem chcesz mój synu,
„Idź gdzie cię serce niesie, gdzie najmilej
„Patrzy ci życie... Byłeś człekiem czynu
„Był i honoru, byłeś nienagannie
„Sprawował zawód swój, Bóg z tobą będzie!“

Z kolei głos należał siostrze Annie,
Choć raczej pierwszym był on w pewnym względzie.
Lecz gdy przebrzmiały uroczyste słowa
Pana Michała, i cisza chwilowa
Zaległa mały ten, swojski parlament,
Anna tej ciszy nie przerwała głosem,
A tylko w stronę, gdzie swym przyszłym losem
Zajęty, stał nasz młodzian, mając zamęt
W głowie i w sercu, jak każdy w tym razie —
Rzuciła prosto spojrzenie czarowne,
Jedno, lecz takie jasne i wymowne:
Że po niem Bolek jak po drogokazie

Niemylnym znalazł świat swojej przyszłości,
A był to piękna świat, i świat miłości!..

„O tak! poetą ja być muszę! muszę!...“
Pomyślał nasz bohater, niby wieczny
Sojusz ślubując tej, co jego duszę
Odgadła pierwsza, i święte jej znicze
Pierwsza współczuciem darzy...

Co się tycze

Siostrzyczki Maryi, to tej ładnej główce
Rzeczą się zdało to okropną prawie:
By Bolek, w niczem nie podobny mrówce,
Bolek, co tyle już na szkolnej ławie
Wysiedzi czasu, w mieście, a jak w niebie
Przepędzić mógłby go w siostrzyczek gronie,
Ten Bolek myśleć miał jeszcze o „chlebie“!
Więc już on jawi się jej na zagonie,
Jak ciężki lemiesz wodzi; albo woły
Jak pasie w brudnej siermiedze i grubej;
To znów młynarczyk niby, ze stodoły
Wory wynosi... i tak wszystkie próby
Tego ciężkiego chleba nasz wieszcz młody
Już przebył w żywym współczuciu dziewczynki...
Lecz nagle wyraz kwietniowej pogody
Z zafrasowanej jej ustąpił minki,
Wstała, i z pustym, dziecinnym chychotem
Prosiła starca: „Chacha! jak cię kocham
„Ojczusio drogi, nie mówmy już o tem!
„Nie mów o chlebie nic, bo się rozszlocham!...“

Taki był wynik tej narady walnej.
Ostał się cało pierwotny kierunek
Duszy młodzieńca: czysto idealny!
I tylko mocniej splótł się ów stosunek
Serdeczny z Anną, któremu druhowie
Nasi wyrazu dać nie mogli w słowie,
I który dźwięczy tylko jak rym spiewny
W zwrotkach ich uczuć...

„Gdy trzeba koniecznie,

„Rzekł nasz bohater, więc wiedzy pokrewnej
„Muzom, do których już należę wiecznie,
„Oddam się w studyach uniwersyteckich:
„Rozpatrzę światy ideałów greckich,
„Ale poetą będę ostatecznie!...“

V.

Gdybyż od razu można w kształty złożyć
To, co w marzennym nosimy rozpierzchu!
Gdybyż wnet, cośmy poczuli, odtworzyć!
W blask jawu wywieść z duchowego zmierzchu

Owe embryony przyszłych ideałów,
Co się już życia upomniały snadnie,
Te niby pierwsze zawiązki kryształów
W dziele mających spełnić swoje składnie —
Gdybyż to! gdybyż!

Jak innych miliony

Czuł nasz bohater żywo całą marność
Owego „gdybyż!...“ Słowa, farby, tony
Miał, ale jakaż wpośród nich niekarność!
Jakże daleko im do łądów onych
Rządzących światem form dopiero śnionych!
Jakież w nich blade to, co ponad duszą
Świeci w różanym wdzięku!.. „Męka! męka!
„Byleś tknął ciałem, a wnet rwą się, kruszą
„Subtelne przędzy duchowej włókienka,
„Albo je pyły materji zaproszą
„Do niepoznania tak, że serce pęka,
„Gdy tworząc chwytasz rys na marzeń niebie
„I dasz go dziełu... i spojrzysz przed siebie...“

„Nie, nie! snąc zdolny ja nie jestem pieśni!“
Usłyszeć można to od Bolesława,
Kiedy natchnienia swoje ucieleśni.
„Brylant mam w duszy, ale ta oprawa
„Kryje blask jego niby warstwa pleśni!

„W słowach zatarłem nieśmiertelne piętna;
„Nic ja nie stworzę!“

W takich chwilach sława,

Owa dusz młodych kochanka namiętna,
Świeżą młodzieńca krzepiła otuchą,
I zgrzewała stygnące już tętna
Twórczości jego, że wnet dalej kruchą
Snuć usiłował nić swego natchnienia
Na twardej kanwie duchowych obrazów,
Której sam tylko sprostał Duch stworzenia,
On, co skrę wywiódł z bazaltowych głązów!...

I dziwna! w chwilach tych zwątpień niemęskich,
Gdy nawet sława odmawia podniety,
Nad utrudzoną już duszą poety
Niby kapłanka zniczów czarnoksięskich
Stawała postać Anny... dobra, cicha,
Z spojrzeniem, dobrze Bolkowi pamiętnem,
Z którego jako z nektarów kielicha
Pił zdroj ożywczy... które mu ponętnem
Czyniło znowu piękna, ładu dzieło,
Szepcząc: „O wytrwaj! wszakżeś jest z celniejszych!
„W głębiach swej duszy najnieśmiertelniejszych
„Masz to, co z Boga swój początek wzięło,
„A co twój geniusz światu rozkryształili...“
Zrywał się Bolek więc — i tworzył dalej.

C. d. n.

Nad morzem i nad Dunajem.

PAMIĘTNIK WŁÓCZĘGI.

II.

(W Belgradzie. Serbowie. Zabójstwo ks. Michała i jego mordery. Proces. Nieco historyi. Karadzordza i Miłosz Obrenowicz. Poezya pisana. Wuk Karadzicz i Branko Radziczicz.)

Ciekawy to naród ci Serbi, w niczem do nas niepodobni, mimo wrodzonych zdolności pół-dzicy jeszcze, w bohaterskich czynach nawet rozbójniczy, a tak przejęci materyalizmem, że zachodu nie cierpią, a tak sprawosławieni formami cerkiewnymi, że na wznioślejsze, ludzkie uczucie braknie im poprostu miejsca w sercu. W pieśni i czynnie szczęk mściwego oręza, śmiech jakiś okrutny; w zbrodni politycznej pastwienie się nad ofiarą, krwawe bahanalie, hyeny ryk radośny.

Zdawałoby się, że pod tą grubą powłoką nie może się ukryć chytryść wystudowana, zręczność prawie dyplomatyczna, natchnienie często do wyżyn szczytnej poezji dochodzące. Gdzież tam — jest to wszystko, a tak zmieszane, a tak w niektórych wypadkach na jaw wychodzące, nie-

kiedy szczelnie schowane, że i długiego namysłu, i poznania jasnego położenia, i ciągłej niewiary, podejrzliwości potrzeba, by zdać sobie sprawę.

Dzieje ich polityczne i piśmiennictwo mogą nam dać tego wyborną próbkę.

Żałuję, iż w długich wędrówkach zagięło mi wiele, zapomniałem nie jedno, i dziś przy słabo rozetlonym kaganku wspomnień wracam do przeszłości niedalekiej, zabieram się do opowieści tego, na co patrzyłem, co słyshałem i czytałem.

Niepodobną jest dla mnie rzeczą choćby lekko nie dotknąć historyi, nie wspomnieć o ostatniem (co jest wątpliwem) zabójstwie księcia Michała, nie przytoczyć kilku urywków z ich poezji ludowej i pisanej, gdyż to stanowić może dopiero dowody wyrażonego u góry założenia.

Belgrad w dniu mego przyjazdu był przerażająco smutny, z każdego domu powiewała czarna chorągiew, a wiele znaków sklepowych kirem było pokrytych. Na ulicach pustki, w małym, dwudziestotysięcznym mieście zdawało się, że żałoba zapanowała nad ciekawością. W oberży i kawiarni spoglądano na się ponuro, słowa marły na ustach, na pozdrowienie odpowiadano wymuszonym ukłonem, a na obcego spoglądano podejrzliwie. Z natury obowiązków moich byłem ciekawy; nie znając stosunków i okoliczności chciałem się czempredzej wywiedzieć, znajomiłem się tedy, rozpytywałem i w rezultacie wróciłem do domu w przekonaniu: że podróż, czas i zamiary stracone. Po kilku dniach dopiero poszukiwań i spostrzeżeń prawda zaczęła się rysować w moim umyśle: Z książką w ręku, z pamięcią widzianych w Topczyderze (miejscu zabójstwa księcia) twarzy, doszedłem do wniosku, że i smutek udany i żałoba urzędową tylko, i wielu potępiających morderstwo nie było wolnych od wiadomości przynajmniej o zamachu.

Rozpoczął się proces, jedyny może w dziejach kryminalnych. Wyrok był wiadomy wszystkim naprzód. Ci, pochyceni w dwie godziny po dokonany krwawy czynie, mieli być i musieli być rozstrzelani. Rozprawy toczyły się jedynie dla formy.

Posiedzenia odbywały się w wystawionej na ten cel szopie w głębi dziedzińca gmachu policji; okuci obwinieni przechodzili środkiem wśród tłumów publiczności, a każdy z obecnych czuł się w obowiązku, prowadzonemu i skazanemu zgóry, napluć w oczy lub dać policzek. Żandarmi nie sprzeciwiali się. Jak chcecie, postęпки podobne nie dawały świadectwa o moralności mieszkańców. Między więźniami był rządcą dóbr Aleksandra Karadzordży, byłego księcia serbskiego. Schorzały starzec, wystraszony, zapadł w ciemnicy mocno na zdrowiu. Nie miano względu, przyniesiono go do sądu, położono na podłodze i badano. Przewodniczący pytał i dyktował sekretarzowi odpowiedzi, których nikt nie słyszał. Siedziałem tak blisko przydyum, że słyszałem oddech konającego.

Zeznania wszystkich jasne i śmiałe świadczyły o dzikiej odwadze i przyjęciu na się następstw dokonanego czynu. Za przykład niechaj posłuży Maricz, były sędzia okręgowy w Aleksincu, osadzony w więzieniu na lat 20 za zabicie żony. Wciągnięty do spisku przez Nenadowicza, brata stryjecznego żony Karadzordży, wyszedł z fortecy, zabił księcia, pastwił się nad trupem, poczem wrócił do kaźni i spokojnie oczekiwał na to, co się stanie. Zapytany: dlaczego zabijałeś?... „Chciałem się pomścić.“ — „Za co?.. „Nie słusznie mnie skazano.“ — „Przecież zamordowałeś żonę własną?“ — „Nieprawda, chciałem wybić tylko, uderzyłem za mocno, kobieta padła bez przytomności krwią zbroczona, lękając się skargi dodusiłem. Sąd za ostro mnie osądził, księżę wyrok potwierdził, więc zemsta,

krwina (wendetta.)“ „Co ci obiecywano za morderstwo?“ „Radowonowicze (przywódzcy spisku) pytali, czy nie żądam pieniędzy; odpowiedziałem, że krwią ludzką nie handluję, zabiłem, leżącego siekłem toporem, poczem wróciłem do kaźni, gdzieście mnie znaleźli.“ Mówiono, że obwinionych torturowano; rzeczywiście twarze były straszne, zmęczone, a przytem spokój, rezygnacya, rzekłbym, bohaterska, gdyby to nie o skrytobójstwo szła rzecz.

Okrucieństwo morderców i trybunału i widzów, z których wielu odwracało oczy od wzroku sądownego, dając tem samem świadectwo, że coś o tej sprawie wiedzieli, wydać się nam może niepojętem, lecz dla mnie znajęcego jako tako dzieje Serbii i charakter jej dzieci, dziwnego nic nie ma.

Wspomnijmy jedynie pierwszego wolności księżęcej Serbii bohatera i mężnego obrońcę Kara (po turecku czarny) Gorge. W. r. 1787 jako młody chłopiec należał do czety (zbrojnego napadu) na Turków, później hajduczył¹⁾ czas jakiś w górach, następnie zabrawszy ojca i cały dobytek chciał przejść Sawę i osiedlić się w Serbii austriackiej, by wyczekiwać lepszych czasów. Starcowi było przykro i ciężko porzucić rodzinny kącik, i w drodze namawiał syna do powrotu, a później stanowczo oświadczył, że nie pójdzie dalej. Syn nie mogąc przełamać uporu ojca, wytłumaczył mu, że lepiej mu zginąć z jego ręki, niż konać powoli w torturach tureckich, i zastrzelił rodzica. Czyn ten zjednał mu wielkie między swoimi znaczenie, i w wybuchu został pierwszym wojewodą.

Dzikość Czarnego Grzegorza posiadała pewną dozę spartańskiej sprawiedliwości. Brat zgwałcił jakąś dziewczynę, więc go powiesił; matka chciała przywłaszczyć ul pszczelny sąsiadki, syn włożył ul na głowę matki i dopóty kazał trzymać, póki kąsana nie wyzionęła ducha.

Przykładów podobnych, jednających mu sławę w narodzie, z jego życia i z życia następcy jego Miłosza Obrenowicza, który Karadzordzie łeb ściał w Belgradzie, możnaby zacytować wiele, a ciekawych odsyłam do dzieł Rankiego, Kanitza (zbyt przychylnych dla Serbii by ich o bezstronność posądzić), Ubiciniego, Jeża i in.

Miłosz Obrenowicz (wypędzony następnie przez syna Grzegorza) zastał ludność zepsutą w długiej niewoli, rozbójniczą, nie mającą dla cudzej własności najmniejszego poszanowania. Uczył przeto poddanych cnoty w równie oryginalny jak okrutny i nikczemny sposób. W podróżach swoich porzucał w danej miejscowości pieniądze, jeśli po pewnym czasie nie przyniesiono mu zguby, wsie okoliczne palił a winowajcę zabijał.

Syn Grzegorza, Aleksander, wypędził z kolei Miłosza,

¹⁾ Hajduk, człowiek wolny, mieszkaniec gór, wiodący życie rozbójnicze, a do niedawnego czasu uważany w Serbii za politycznego powstańca.

poczem Obrenowicze utrzymali się przy dynastyi, a jak wiemy, niedawno miał miejsce zamach na życie młodego księcia.

Rząd w wolnym kraju jest wyrazem usposobień narodu, z tych próbek przeto możemy powziąć wyobrażenie o charakterze Serbów.

Dosyć już rozpisałem się, a chciałbym słówko rzec jeszcze o pisanej poezyi i literaturze serbskiej, ludową i obyczaję odkładając do przyszłego listu. Myślę, że dla czytelników milszą będzie wiadomość o wyrobach ducha w ostatnich czasach, niż stare podania i długie pieśni bojowe, na co zresztą w blizkiej przyszłości znajdziemy miejsce.

Co w dziejach i obyczajach, to samo w piśmiennictwie. Plejadę nowych poetów stanowią trzy nazwiska: Niegosz władyka czarnogórski, Branko Radziczic (obaj zmarli) i żyjący lecz nie piszący więcej Mazuric. Sławny ostatniego poemat: „Śmierć Smail-Agi Czyngicza“ tłumaczył piszący te słowa, i podobno drukują go w Warszawie; „Górski Wieniec“ Niegosza, wymaga licznych komentarzy, które możeby nużyły czytelnika, więc na dziś ograniczam się na biednym Branku i wykazaniu wpływów, jakie na tę młodą i natchnioną duszę działały.

Branko Radziczic urodził się w r. 1824. Ukończywszy szkoły początkowe, wszedł do uniwersytetu wiedeńskiego na wydział prawa, z czwartego kursu przeszedł na medycynę. Umarł 1853 r. w Wiedniu. Żył lat 29. Krótkie lecz wypełnione pracą życie. Wrzący zapał poetyczny podsycił chęć nauki, poważna praca ochroniła go od tak często spotykanych wybryków artystycznych. Zmęczony studjami, pamiętny na kraj rodzinny, kochanek natury, wtajemniczony w pół-bohaterskie, pół-dzikie dzieje swego narodu, Branko na okładkach książek, w chwili spoczynku, w rozrzewnieniu za przeszłością pisał swoje pieśni, i zebrała ich się spora książka (o 370 stronicach), wdzięczna pod względem formy, wolna od rozpacz i przekleństw, a niemal cała układająca się do śpiewu.

Serbia, mimo nieprzebranego bogactwa pieśni i podań ludowych, podziśdzięń tak samo jak Czechy nie wydała wielkiego poety, któryby obfite źródło pamiątek narodowych ujął w prawdziwie artystyczne ramy. Straszne niedolą, potężne bohaterstwem kosowe pole; nieulekniony, silny królewicz Marko, ten Cyd Słowiańszczyzny południowej, ulubieniec ludowy, tudzież wojny z r. 1804 domagają się wieszczka. Dzięki niezmordowanemu Wukowi Karadziczowi, późniejszym zbiorom Petronowicza i innych, wydobyto już z ziemi olbrzymich kształtów marmury; brak tylko Fidiasza.

Lud po wsiach śpiewa, snują się ślepi rapsodziści zebrańcy, opowiadający przy dźwięku gęśli krwawe boje i ucisk turecki; często po nad łunę pożaru i pozabijane

mężę, wybiegnie jak gołąb biały jakaś postać powietrzna¹⁾, wytwór wyobraźni narodowej; lecz jeszcze raz ze smutkiem powtórzyć wypada, nie ma nikogo, któryby streścił w sobie poetycznego ducha narodu, zlał w jeden pomnik wspaniały rozrzucone skarby.

Aż do Wuka Karadzicza niepospolitą przeszkodę przedstawiał język bez prawideł, nie oczyszczony z naleciałości, nie podniesiony i nie wyrobiony tak, aby mógł odpowiedzieć wszystkim wymaganiom nauki i piękna. Uczeni pisali zrozumiale tylko dla siebie, administracja przyjęła pisownię moskiewską, mowę ludu nazywano pogardliwie świniarską. I w tem najwyższa zasługa Wuka²⁾, że niezrażony przeciwnościami, jakie mu z początku własni ziomkowie stawiali, doprowadził język do jasności i jedności.

Wiadomo, że w sprawie języka najwyższą władzą wyrokującą jest poezya, nie przyjmie ona ani jednego wyrazu, któryby się sprzeciwiał duchowi danego narodu.

Owóz trzech najznakomitsi ostatnich czasów poeci serbscy, Piotr Pietrowicz Niegosz, władyka czarnogórski³⁾, Mazuric autor Śmierci Smail Agi Czyngicza, i Branko Radziczic, poszli śladem Wuka. Co zaś uczony badacz postanowił na mocy dociekań historycznych i lingwistycznych, obu śpiewakom wypłynęło z duszy swobodnie, tak, że zdaje się, iż inaczej myśleć ani pisać nie można.

Branko był przeważnie poetą lirycznym, opiewającym cuda przyrody, miłość, tęsknotę; zachwycający się jasnym słońcem, bladym księżycem i szmerem strumienia; sentymentalny aż do uwielbienia białej nóżki spoczywającej na murawie pasterki, rzeczy, o których u nas po ś. p. Filonie mówić się nie godzi. Dla każdego jednak, choć jako tako obeznanego z literaturą i zwyczajami Serbii, zachwyty te mają zapach wiosennego kwiecia. Z marzycielskiej zadumy wyrывa młodzika wspomnienie kosowego pola, niewoli Serbii, zuchwałych czynów hajduków, a wtedy widzimy nieledwie, jak w oczach naszych roztkliwiony pieszczoch w zapaleńca urasta, i wtedy już nie nuci piosenki, ale grzmi z wielką siłą:

„Domem moim, ten las ciemny,
A posłaniem twardy kamień...“

.....

„Z nimi (hajdukami) zlecę z lasów czarnych
Jak wśród burzy błyskawica.“

A że Serb, więc mściwy, i krwi i okrucieństw wtedy łaknie.

¹⁾ W Zbiorze Wuka Karadzicza: Dziewczę kossowskie.

²⁾ Po Wuku najbardziej zasłużonym w tej sprawie jest Grzegorz Daniczic.

³⁾ Autor bohaterskich pieśni, † 1851 r.

Do wspomnień przeszłych wraca często, lecz zwykle ledwie zaczęta pieśń bojowa kona mu na ustach, śpiewak milknie, a kiedy głos podniesie, to już o tem niebie, co błękitne wisi nad nim, o słońcu jasnym, i o lasów szumie, albo o tęskniącym dziewczęciu.

Pięknym jest jego większy poemat „Pożegnanie studenckie“, pełen wspomnień i zwyczajów narodowych, a w tak wdzięczną formę ujęty, jakby jej od autora Ruśkałek zapożyczył.

Czytając pieśni Branka, oceniając głęboką znajomość sztuki, pytałem niespokojny: „Dlaczego wyżej nie nastroił głęśli? Czemu po homerowe nie sięgnął wawrzyny?“ I oto jaką dał mi odpowiedź jego życiorys.

„Marzeniem Branka była podróż po skończeniu nauk. Szczególniej serce go ciągnęło na Kosowe pole. Chciałbym — mówił — napisać epopeję, ale ani jednego słowa nie rzucę, dopóki Kosowa nie ujrzę, Kosowa, na którym zagasła sława Serbii. Treść mam gotową, ale epopeja serbska winna być do greckiej podobną; w niej trzeba zawrzeć wszystkie zwyczaje narodu.“ Umarł mając lat 29.

Kończąc to krótkie wspomnienie, zasługi poety sprowadzam do wielkiej umiejętności języka, niepospolitej zdolności lirycznej i przechowania czystej, nieskażonej duszy. Był to wieszcz opisowy, który chociaż nie zdobył się na pieśń, ani na myśl wielką, w niewinności swej i uroku tak miłym stał się Serbii, że gdy się wyżsi zjawia, ona o biednym Branku nie zapomni. Godzi się i nam wiedzieć o nim, i może kilka wierszy podanych w przekładzie zyszczać gościnne przyjęcie.

I.

Poranny wędrowiec.

Spi dolina i las w cieniu,
I przyroda senna jeszcze...
Tylko woda po kamieniu,
Tylko wicher zaszeleszcze.

Na pobudkę kogut pieje
I skrzydłami bije w góry;
Zdala jakiś błysk jaśnieje,
Dzimek wyjdzie z poza chmury.

I jutrzienka spi czerwona,
A wędrowiec siadł w krzewinie,
Patrzy, jak noc zwolna kona,
Okiem het! — daleko ginie.

Cień już niknie, gwiazdy gasną,
Jasne słońce dookoła,
I w wędrowca duszy jasno,
I w zachycie tak zawoła:

„Oj słońeczko, co niebiosą
Rozjaśniło przyjscie twoje,

Oj obłoki, z których rosa
Jak lzy, pada w serce moje!

Ląko moja umajona,
Lasy, pola, ciemne góry,
I ty piosnko nieskończona,
Którą dźwięczą plectwa chóry!

Kwiatku polny, woniejący,
Trzody żwawe, wypasione,
I ty wietrze wciąż szumiący,
Bądźcież, bądźcie pozdrowione.

Ach i ty bądź pozdrowiona,
O dziewczyno cudna, pusta,
I zawiśnij mi u łona,
I ucałuj bratnie usta!..“

II.

Nieznany morderca.

Słońce nie chce świecić dłużej,
I do snu już oko mruży
I za lasy skoro bieży,
Mnie się spocząć też należy.

Siądę, siądę nad strumieniem,
Na tej trawie pod drzew cieniem;
Nim różana błysnie zorza,
Z zielonego wstanę łoża.

Rzekł wędrowiec — próżne chęci,
Coś go łudzi, coś go nęci,
Młode serce — wonne kwiecie,
A więc począł grać na flecie.

Dziwnaź fletnia — spiewem płynie
Het po górach i dolinie...
A muzykę wiatr daleko
Poniósł lekko ponad rzeką;
Leci echem — nie utonie,
Już po drugiej dźwięczy stronie.

Po tej stronie dziewczę młode
U krynicy czerpie wodę,
Naczerpała, odejść chciała,
Lecz ją fletnia zatrzymała.

Siadła rada i nierada,
Każdy ton w jej serce pada,
Jak osina drzy nieboże;
Ale ruszyć się nie może.

A wędrowiec rozrzewniony
Na czarowne patrzy strony,
Na bogate wokół wdzięki,
Flet na ziemię puścił z ręki.
Nie gra dalej tylko nuci,
Jak się wietrzyk z liściem klóci,
Jak szeroko rzeka płynie.
Jakie kwiaty na dolinie.

„Gdyby jedno dziewczę hoże,
Na wiek zostałbym tu, Boże,“

Spiewa, spiewa — ona słucha
Jak zakłęta, jak bez ducha.
Oj piosenko — mocny Boże!
Chce do domu, a nie może,
A pieśń płynie wciąż piękniejsza,
I rzewniejsza i silniejsza.
Kto ją nuci? dziewczę nie wie,
Jednak tyle mocy w spiewie,
Że niepomna na urwiska
Chce ją słyszeć, słyszeć zbliska.

Na pochyłym brzegu stanie...

Oj, przekłete to spiewanie!
Oj, zła pieśni, dziewczę młode
W niezgłębioną wpadło wodę.

Zorza się na niebie pali,
A wędrowiec poszedł dalej,
Ranek błysnął naokoło,
Wędrowiec nuci wesoło.

Tyś nie wiedział, biedny pieweze,
Żeś na śmierć zaśpiewał dziewczę!

KAROL PIENKOWSKI.

Z życia pięknej kobiety.

(Obacz rycinę na stronnicy 144.)

1773 - 1823

Nie łatwo już dziś na bożym świecie o żywot tak pełny przygód awanturniczych, jak ten, który właśnie opowiedzieć zamierzamy. Zarywa to coś i na bajkę wschodnią i na romans średniowieczny, ale wszystko niestety nałożone tak grubo barwą skandaliczności, że w najlitościwszem nawet sercu nie mogłoby znaleźć spólczenia ani pobłażania. Najlepiej jednak rzecz sama to okaże.

W drugiej połowie zeszłego wieku żył w greckiej dzielnicy Konstantynopola ubogi szewc, który oprócz licznej rodziny nie posiadał nic zgoła. Często gęsto nie było czem zaspokoić głodu; nędza wyzierała ze wszystkich kątów i patrzyła wyraźnie z oczu dzieci, które nieraz musiały żebrać po ulicach kawałka chleba. Wszystkie jednak, a było ich sześcioro, odznaczały się rzadką pięknoscia; i chłopcy i dziewczęta miały wzrost kształtny i postać nadobną; znać było, że w ich żyłach płynęła krew starohelleńska. Najwięcej jednak ze wszystkich jaśniała urodą i wdziękami urodzona w r. 1773 najstarsza córka Zofia. Jej rusałkowa postać, delikatne — przedziwne utoczone członki, brunatne — bujne kędziory, lekko i szlachetnie zarysowany nos, a przedewszystkiem jej nadzwyczajnie duże, pełne wyrazu oczy i alabastrowa, lekko odzieniem różowym zabarwiona cera — wprawiały w zdumienie każdego, kto ją ujrzał, i niejednen przepowiadał biednemu szewcowi, że nadobna jego córeczka jeszcze kiedyś szczęście mu przyniesie.

Nie myślano przy tem, jak to bywa u nas, o bogatym zięciu; nie; dla ubogich ludzi była wówczas w Konstantynopolu — a zdarza się to niestety i dziś jeszcze — piękna dziewczyna tylko towarem; handel ludźmi kwitnął w stolicy sułtańskiej, i obok sławnych piękności czerkieskich zapełniały fanaryotki haremy bogatych Turków. Pod haniebnem panowaniem tureckich padyszachów doszła demoralizacya niższych klas tego olbrzymiego miasta do

najwyższego stopnia, frymarczenie żonami i córkami nie było nawet uważane za coś zdroźnego, a Grecy, chociaż zawzięci nieprzyjaciele swoich ciemięzców, nie ustępowali przecież w tem podłemu rzemiośle innym mieszkańcom Stambułu. Piękną Greczynkę można było łatwo kupić publicznie od ręki; szły one do haremów tureckich, i za ich kratami wiodły życie smutne i uwłaczające godności ludzkiej.

Ale nie tylko Turcy prowadzili taki handel; także chrześciance, osiedleni w Konstantynopolu, nauczyli się go od nich, i oni także kupowali i sprzedawali żyjący towar. Faktem jest, że wówczas nawet europejscy posłowie i kupcy w Stambule utrzymywali sobie haremy podobnie jak Turcy. Po tem krótkim wyjaśnieniu nie wyda nam się wcale dziwnem, że margrabia *de Beauviere*, w roku 1786 poseł Ludwika XVI, króla francuzkiego, przy dworze tureckim, nabył za 1500 piastrów ową piękną Greczynkę.

Miała ona zaledwie trzynaście lat, gdy ją ujrzał po raz pierwszy zgłodniała, bosą i w lichej sukience na ulicy, i nadzwyczajna jej piękność w połączeniu z szlachetną postawą zachwycała mimo nędznego ubioru tak dalece tego starego i brzydkiego wietrznika, że kazał dowiedzieć się zaraz o jej mieszkanie i rodziców. Pan margrabia był niepospolitym znawcą piękności; wychowany na rozpustnym dworze Ludwika XV., a przejęty jeszcze tradycjami Ludwika XIV., przebył on w Paryżu nie jedną awanturę miłosną i widział nie jedną piękną kobietę, a przecież — jak to wyznał sam swoim przyjaciółom — nie przypominał sobie, by widział kiedykolwiek piękność tak imponującą.

Handel został wkrótce załatwiony; szewc wydobyl się z nędzy, a biedne dziewczę nie miało żadnego głosu. Przeniesiona do hotelu ambasady francuskiej widziała tylko przepyszne komnaty, piękne jedwabne suknie, błyszczące klejnoty, w które ją przystrajano, mogła jeść i pić podług upodobania. Jakaż to różnica w porównaniu

z nędzną chatą rodziców! Wszystko olśniewało ją tutaj; jej umysł dumny i próżny od dzieciństwa znalazł jeszcze większą podniecie w holdach, jakie jej składał stary dyplomata. Nowy i nieznan dotąd świat, a czarodziejski jak w bajce, otworzył się przed jej oczyma; zbytek i przepych, które tak przypadły do jej usposobienia, otaczały ją na każdym kroku. Wkrótce też oswoiła się ona z swoim położeniem i nie troszczyła się wcale o to, że serce jej nie miało w tem żadnego udziału.

Trzy lata przepędziła piękna Zofia na tem poniżającym stanowisku. Nauczyła się po francuzku; miała doskonałych metrów i doszła w muzyce, a szczególnie w śpiewie do znacznej biegłości. Obfite zdolności jej umysłowe rozwijały się coraz więcej; jej dziewicza piękność przybrała formy skończone, i kto ją widział teraz, w siedemnastym roku jej wieku, musiał przyznać, że nie było nad nią powabniejszej istoty na świecie. Im więcej oswajała się z obyczajami i zwyczajami wielkiego świata, tem bardziej rosła jej ambicja; wiedziała ona, że jest piękna, bardzo piękna, i spodziewała się ciągle, że przy pomocy swoich zalet i wdzięków odegra jeszcze kiedyś znakomitą rolę na świecie.

W roku 1789 został margrabia de Beauviere skutkiem zaszczytów we Francji wypadków rewolucyjnych odwołany z posady ambasadora w Konstantynopolu. Powrót do Paryża był wtedy połączony z licznymi trudnościami, i margrabia postanowił przeto udać się drogą lądową przez Moskwę i Polskę. Starannie też opakował swoje dorosłą już Greczynkę, i miał zamiar osadzić ją w swoich dobrach w południowej Francji, gdyż na rozbitym przez rewolucją dworze paryskim nie mógł błyszczeć z nią więcej.

Przybywszy do Kamieńca Podolskiego, postanowił Beauviere wypocząć tam kilka dni, a potem puścić się w dalszą podróż na Lwów i Kraków. Grzeczność wymagała zrobienia wizyty gubernatorowi twierdzy, hrabiemu Wittowi, potomkowi sławnego ministra holenderskiego. Ale margrabia był o tyle nieostrożnym, że wziął z sobą swoje Greczynkę, i wtedy to ujrzała ona w trzydziestoletnim jenerale po raz pierwszy kawalera wielkiego świata, którego uprzejmość i grzeczność ją zachwyciły, a pochlebstwa trafiały do jej serca. Znadto wielką też była różnica między obydwoma mężczyznami: — tu stary Francuz, który z zazdrością ukrywał ją przed światem, a dla którego nie mogła ona nawet mieć przywiązania córki—tam przystojny, młody człowiek, który był w wielkich łaskach u carowej Katarzyny II., posiadał wielką znajomość świata i płomienistym wzrokiem spoglądał na piękną dziewczynę.

Pierwszego już dnia porozumieli się oboje, i Witt tak się zakochał w nadobnej fanaryotce, że postanowił niezwłocznie z nią się ożenić. Szło tylko o to, żeby ambasadora jakim niewinnym sposobem oddalić na chwilę

z miasta. Pod pozorem pokazania mu jakichś osobliwości w okolicy Kamieńca, wywiódł go jeden z adjutantów gubernatora za miasto. Ale zaledwie wyjechali za miasto, zamknięto natychmiast bramy twierdzy; Witt zabrał piękną Greczynkę i zaprowadził ją do popa, który na jego rozkaz natychmiast ich połączył ślubem małżeńskim. Pana Beauviere zawiadomiono u bramy twierdzy bardzo grzecznie o tem, co się stało, zwrócono mu 1500 piastrow, które za Zofią zapłacił, i proszono go jak najuprzejmiej, ażeby udał się natychmiast w dalszą podróż do Paryża.

Tym sposobem została uboga Greczynka, nadobna córka szewca, w ośmnastym roku życia panią jenerałową Wittową, i zaczęła się dla niej nowa epoka życia. Ale chociaż małżonek najczulej ją kochał, chociaż po roku obdarzył ich Bóg synem, który pięknnością równał się matce, chociaż nie zbywało jej na niczem, była Zofia przecież nieszczęśliwą. Poznała ona zbyt wcześnie, że nie kochała Witta; zaczęły się objawiać gorzkie następstwa lekkomyślnego kroku, i chociaż powinna była być wdzięczną mężowi, który po tak wątpliwej przeszłości dał jej zaszczytne imię, nie czuła się przecież szczęśliwą przy jego boku. Ona pragnęła wznieść się wysoko, chciała widzieć świat, używać towarzystwa i jego roskoszy. Bo i czemuż zresztą mogła ją zająć skromna stolica Podola, licząca zaledwie 13,000 mieszkańców? Oprócz kilku oficerów załogi i żon urzędników, nie miała z kim żyć, a gdy wyrzała na ulicę, spotykały jej oczy tylko brudnego żyda lub pijanego chłopca. Natomiast z Petersburga, oddalonego przeszło o 200 mil, nadchodziły doniesienia o świetnych festynach, jakie wyprawiała tam Katarzyna, i ku niej też zwracały się wszystkie jej myśli i życzenia. Tam to, na świetnym i roskosznym dworze północnej Semiramidy, było dla niej pole popisu, tam mogły jej zalety fizyczne i umysłowe znaleźć uznanie, tam uśmiechały się do niej zdobycze, miłośne intrygi i awantury.

Nie dawała też tak długo pokoju mężowi, dopokąd nie wziął dłuższego urlopu i nie pospieszył z nią do Petersburga. Stolica carów przewyższała wówczas co do lekkości obyczajów prawie nawet Wersal. Wiadomo powszechnie, jak rozpustne życie wiodła sama Katarzyna, jak zwichnięte były wówczas wszystkie stosunki społeczne i moralne, jak wyuzdana namiętność zacierała wszelkie znamiona czci i godności ludzkiej. Był to więc grunt bardzo ślizki na owym osławionym dworze petersburskim, a podwójnie niebezpieczny dla pięknej kobiety, obdarzonej tak gorącą fantazyą, a mającej tak wątpliwą przeszłość za sobą.

Jak błyszczący meteor zajaśniała nadobna jenerałowa wśród przesiąkłej roskoszą atmosfery Petersburga. Wszystko składało hołd jej piękności, która też teraz, w dwudziestym roku jej życia, rozwinęła się w sposób pra-

wdziwie cudowny. Sama Katarzyna II., która wówczas schodziła już z pola, ale mimo to nie mniejszą była grzesznicą niż za młodu, która spoglądała zawistnym okiem na każdą piękność młodą, nie mogła odmówić podziwienia czarującym wdziękowi Wittowej. Tu zlewało się wszystko w harmonijną całość; dowcip i uroda szły z sobą w parze; a chociaż generałowa nie znała wyższych i szlachetniejszych dążeń, umiała ona przecież zarówno błyszczeć zaletami swego umysłu, jak i urokiem swojej niezrównanej piękności. A wpływ tej piękności tak był potężny, że zagłuszał zupełnie wszelkie niekorzystne pogłoski o jej przeszłym życiu. Jak królowa przyjmowała ona hołdy pierwszych znakomitości w kraju, u nóg jej leżeli najbogatsi i najpiękniejsi kawalerowie, malarze ubiegali się o zaszczyt malowania jej nadobnego oblicza, poeci sławili ją w pochlebnych odach, rzeźbiarze uwieczniali w marmurze. Była ona wyrocznią wielkiego świata, kazała składać sobie hołdy, i próżność jej wzrastała bez granic.

Mówią o rozmaitych stosunkach, jakie miała pozawiazywać w owym czasie. To pewna jednak, że mąż obrzydł jej zupełnie, i że wkrótce zwróciła się ku błyszczącemu komecie, który na dworze Katarzyny zajasniał tak pomiędzy mężczyznami, jak ona w gronie kobiet.

Pomiędzy kawalerami dworskimi w Petersburgu nie odznaczał się żaden w takim stopniu pięknnością i bogactwem, jak urodzony w r. 1745 smutnej pamięci Stanisław Szczęsny Potocki, generał artylerji, karmazyn od czuba aż do pięty, który w dziejach rozbiorowych Polski odegrał bardzo haniebną rolę. Nie mogąc w roku 1791 przeszkodzić uchwaleniu konstytucji z 3. maja, zawiązał on wspólnie z innymi odszczepieńcami konfederacją Targowicką, która wezwała pomocy Moskwy przeciw rzeczywolnej polskiej. Po wystąpieniu Kościuszki schronił on się w r. 1794 do Petersburga i znalazł bardzo pochlebne przyjęcie u carowej. Potocki był istotnie jednym z najpiękniejszych mężczyzn swego czasu, i wzrok też 65letniej już naówczas Katarzyny zwracał się ku niemu z szczególniejszym upodobaniem. Jest to fakt historyczny, że pewnego razu włożyła ona dyadem brylantowy na jego skroń i wyrzekła przytem te słowa: „Zaprawdę, ten królewski dyadem przystoi twemu królewskiemu obliczu, i zdaje mi się, że widzę już w tobie przyszłego króla.“ Istotnie też miała ona zamiar obalić Stanisława Poniatowskiego, będącego już naówczas w niełasce, a osadzić Potockiego na tronie polskim; ale już sama Opatrzność uchroniła nie-szczęśliwą ojczyznę naszą od tej hańby.

Było to na balu dworskim u Katarzyny, gdy Wittowa i Potocki ujrzeni się po raz pierwszy; ona liczyła wtedy 22, a on 44 lat. „Wszystkich oczy—tak pisze w pamiętnikach swoich jeden z posłów przy dworze petersburskim—były zwrócone na tych dwoje ludzi, którzy chociaż nieznanym sobie, zdawali się przecież należeć do siebie. Każde

z nich było w swoim rodzaju doskonałą pięknnością, i jeżeli czyje oko spoczęła na chwilę z upodobaniem na rycerskiej postaci Potockiego, podniesionej strojem lśniącem od brylantów, to mimowolnie zwracało się ono potem ku nadobnej generałowej, która mogła śmiało iść o lepsze z boginią miłości, i którejby nawet Parys był bez wahania podał swoje jabłko.“

Nie podlega żadnej wątpliwości, że Zofia zaraz tego wieczora, gdy ujrzała Potockiego na balu, wyznała mu swoją miłość i postanowiła połączyć się z nim bezwarunkowo, jak niegdyś połączyła się z Wittem. Ale teraz była ona ślubną małżonką wysokiego oficera moskiewskiego, i musiała obawiać się gniewu carowej, gdyby zechciała postąpić równie samowolnie, jak w Kamieńcu Podolskim. Jednakże została już raz w życiu sprzedaną, dlaczegoż nie mogłoby to jeszcze raz nastąpić? Okoliczność ta, że była matką, nie zdawała się jej wcale kłopotać; namiętność dla pięknego, bogatego Potockiego przytłumiała zupełnie głos rozsądku i przyzwoitości. Do tego zaś przyłączyło się jeszcze, że stosunki majątkowe Witta były bardzo złe, a podróże lubiącej przepych małżonki i pobyt na dworze pochłonęły resztę pieniędzy.

Natomiast rozporządzał Potocki prawdziwie królewskim majątkiem. Chociaż rząd narodowy ogłosiwszy go zdrajcą ojczyzny, kazał wizerunek jego powiesić na szubienicy i skonfiskował wszystkie dobra jego w Polsce, posiadał on przecież jeszcze w ziemiach zabranych przez Moskwę, a mianowicie na Ukrainie i Podolu dość znaczne dobra, które dozwalały mu żyć nie po książęcemu, ale po królewsku. Liczba jego poddanych wynosiła przeszło 200,000 dusz. Przytem nie krępował on się żadnymi względami w używaniu swego majątku, a że był pewnym miłości i przyzwolenia Zofii, postanowił nie szczędzić grosza dla załatwienia sprawy z jej małżonkiem.

Jakież to stosunki dozwala przypuszczać ta haniebna frymarka! Dwóch najznakomitszych dworaków, którzy codziennie spotykali się u dworu, targuje się o piękną kobietę, jak rzeźnik o bydlę, jak dziki handlarz niewolników o zdrowego murzyna!

Rozwód został dokonany, i wkrótce potem odbyły się w największej cichości zaślubiny Zofii z Potockim. Nie skandaliczność jednak tego całego wypadku narobiła wrzawy w Petersburgu, bynajmniej; wielki świat tamtejszy zajmował się głównie kosztownym naszyjnikiem z czarnych pereł, który Potocki ofiarował swojej żonie w dzień ślubu. Składał się zaś ten naszyjnik ze stu zupełnie równych, najczyściejszych pereł, które skupowano w całej Europie, a z których każda miała kosztować 6000 rubli.

Ale wypadek ten rozgniewał przecież Katarzynę. Nie było to jednak oburzenie moralne, wcale nie; tylko dotknięta miłość własna i pokrzyżowanie jej planów skłoniły ją do okazania swej niełaski dawnemu ulubieńco wi.



Zofia Potocka.

(Obacz stron. 141.)

Potocki uznał też za rzecz stosowną, opuścić Petersburg i usunąć się do dóbr swoich na Ukrainie.

Dla miłości prawdy jednak wyznać potrzeba, że Zofia kochała prawdziwie swojego drugiego męża. Sprzedana najprzód przez rodziców, a potem zawarłszy lekkomyślny związek małżeński, nie знаła wcale uczucia miłości; teraz jednak wybrało jej serce, i małżeństwo tych dwojga ludzi, jakkolwiek nie długo trwało, było bardzo szczęśliwe. Dopiero gdy Katarzyna II. umarła, a jej syn Paweł wstąpił na tron moskiewski, mogli szczęśliwi małżonkowie pokazać się znów w Petersburgu, i byli nawet bardzo chętnie przyjmowani u dworu.

Ale więcej niż Petersburg lubiła teraz Zofia swój piękny pałac w Tulczynie i „czarodziejski ogród miłości“, który Potocki kazał założyć dla niej w Krymie i nazwał na jej cześć „Zofiówka“, a poeta jego nadworny Trembecki uwiecznił swoim poematem. Tamto wśród uroczej doliny wił się srebrzysty strumyk, tworząc malownicze wysepki; dokoła rozlewały czarującą woń najpiękniejsze krzewy i kwiaty, wnijścia grot skalistych ocieniały wawrzyny i mirty. Białe świątynie marmurowe z bożkami miłości, przepyszne posągi, szumiące kaskady i powabne kioski zdobyły ten ogród czarodziejski, w którym całe dnie przepędzali małżonkowie żyjąc tylko dla siebie i swojej miłości. Wpółrodku zaś tego ogrodu wznosił się 60 stóp wysoki obelisk, na którym jaśniał złotymi literami napis grecki: „Miłość dla Zofii.“

Ale kilka lat zaledwie trwało to szczęście. Dwóch

synów powiła Zofia w tym samotnym raju, i był to najpiękniejszy epizod jej życia, który zakończył się w r. 1803 zgonem Potockiego.

Po śmierci męża wyruszyła znów w świat piękna wdowa. Przedsiębrała częste podróży i pojawiała się na rozmaitych dworach, a wszędzie podziwiano jeszcze jej piękność, chociaż była już matką trojga dzieci i przekroczyła trzydziesty rok życia.

Najwięcej jednak przebywała pani Potocka w swoich dobrach i zwyczajnie rezydowała w Tulczynie jak królowa. Zawsze jeszcze lubiła huczne rozrywki, i każdy gość był dla niej pożądanym. Nie brakło też ich nigdy w Tulczynie; gościnną wdowa trzymała dla nich pałac swój otworem, i nieraz też po kilka miesięcy przepędzali tam goście z rodzinami i służbą, tak że życie w Tulczynie było niejako nieustającym festynem. Ale najpiękniejszą jej stroną, którą z przyjemnością podnieść możemy, była nieograniczona jej dobroczynność. Żaden ubogi nie odszedł bez wsparcia od jej progu, bo zapewne nie zapominała ona o tem, jak niegdyś za młodu musiała sama żebrać chleba na ulicach Stambułu.

Zofia Potocka dożyła zaledwie 50 lat. Zapadłszy w ostatnich latach na słabość płucową wyjechała w r. 1823 do Berlina dla zasięgnięcia rady u sławnego lekarza Hufelanda, i tam umarła zdala od swoich. O jej piękności i tryumfach wspomina kilka równoczesnych pamiątek, ale więcej niż one wszystkie mówi załączony portret.

OR S Z A.

N I E S Z C Z Ę Ś L I W A.

POWIEŚĆ

PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

(C I A G D A L S Z Y.)

Stella nie wahając się ani chwili uczyniła to, coby na jej miejscu uczyniła każda kobieta, mająca w sercu trochę uczucia i trochę odwagi.

Ukłękła przy bezwładnym Julianie i jak potrafiła, zaczęła badać, czy iskra życia pozostała jeszcze w jego ciele.

Krwi ani rany widocznej nie było, była więc nadzieja.

Gdyby szybki ratunek, gdyby kilka kropel wody, nieszczęśliwy mógł jeszcze być ocalonym. Serce, którego uderzenia czuć się nie dawały, mogło zacząć bić nanowo; oczy, które zamknął, mogły się jeszcze otworzyć i patrzeć

znowu tam w stronę Moracina, gdzie ostatnie ich spojrzenia urok magnetyczny pociągał.

Ale wody nie było, a ratunek Stelli, nie mającej najmniejszego pojęcia, jak postępować w podobnym wypadku, żadnego nie wywierał skutku.

Daremnie nacierała mu skroń, dawała wachać flakonik, który miała przy sobie, rozwiązała krawatkę, wstrząsała nim, wołała go po imieniu, zaklinała, żeby przyszedł do siebie, żeby żył..

Napróżno!.. życie nie powracało.

Bardzo prędko spostrzegła, że sama jedna nic nie zrobi, że czas, który spędza przy omdlałym, jest straconym

nadaremnie, że zdając na siebie uratowanie go, zostawia go w rzeczywistości bez ratunku, że każda chwila zmarnowana decyduje może o jego życiu.

Nie było innego środka, obrała więc jedyny, jaki pozostawał jeszcze.

Dosiadła konia i puściła się napowrót do karczemki, ażeby sprowadzić zostającemu w niebezpieczeństwie dzielniejszy i umiejętniejszy ratunek.

Za chwilę Julian znikł jej z oczu...

Pojmiemy łatwo, że jedyną myślą, jaka w tym pospiesznym powrocie zajmowała Stellę, było ocalenie młodego człowieka, który uległ tak fatalnemu przypadkowi i to widocznie jedynie dlatego, że ją kochał.

Zwrócenie lunety w stronę Moracina, uparte wpatrywania się w ten jeden punkt, gdzie się ją ujrzeć spodziewał, były tego najlepszym dowodem.

Julian ją kochał, kochał szalenie, i teraz zginął jedynie dlatego, że w tajemnicy czynił zadość nawet takim pragnieniom swej miłości, które świat pospolity i poziomy potrafiłby tylko ośmieszyć.

Stella mogła być dumną. Człowiek, którego wszyscy uważali za rozsądnego i poważnego, którego ona sama miała za zbyt dojrzałego, żeby mógł być zdolnym do jakichś romantycznych szalów, kochał ją tak, że robił dla niej rzeczy, które ludzie rozsądni i poważni nazwaliby dzieciństwem, które ona sama, gdyby nie była tej miłości przedmiotem, uznałaby za nedorzeczną egzaltacją i powitała pustym śmiechem.

I tego uczucia dumy, tego zadowolenia tryumfu nie zdołała zupełnie stłumić pamięć o niebezpieczeństwie, z którego, jak była przekonana, ocalenie jego było już tylko cieniem prawdopodobieństwa. Nie zastanawiała się nad tem, nie myślała o niczem więcej, tylko, że spieszy po ratunek; spieszyłaby tak samo, gdyby na miejscu Juliana był kto-bądź inny, jakiś człowiek obcy, obojętny, nieznany; twarz jej wyrażała tylko boleść i przerażenie, a przeciw w niej całej, w jej pospiechu, w jej przerażeniu, w jej boleści i trwodze był ten pierwiastek zadowolonej miłości własnej, ten czynnik egoizmu, w tem nieszczęściu było dla niej cokolwiek szczęścia i w tej krwawej ofierze nieco zaspokojonego apetytu.

Gdyby na miejscu Juliana był ktoś obcy i obojętny, spieszyłaby tak samo, to prawda, ale spieszyłaby tylko z nadzieją, że tym pospiechem spełni dobry uczynek, że może ocali nieszczęśliwego. Teraz spieszyła z przekonaniem, że tym sposobem odplacić się powinna za uczucie, które wzbudziła, za miłość, której była przedmiotem. Nieznajomego chciałaby ocalić dla świata, dla jego rodziny, dla niego samego wreszcie, Juliana chciała ocalić dla siebie.

Niewielką odległość, jaka ją dzieliła od karczemki, przebyła w kilku minutach.

Gdy stanęła na miejscu, spostrzegła na drodze powóz, którym przed chwilą właśnie nadjechała z Gromnic Marynia.

Winniśmy oddać sprawiedliwość naszej bohaterce, że nie traciła czasu na przywitania, na opowiadanie wypadku, na organizowanie pomocy.

W kilku krótkich słowach wydała odpowiednie polecenia. Dwie minuty nie upłynęły, już na jej koniu pędził posłaniec po lekarza do najbliższego miasteczka, już zrekrutowaną była gromadka ludzi, którzy pod dowództwem jakiejś starej, znającej się na lekach kobiety, i gajowego, który się przypadkiem nawinął, spieszyli na miejsce katastrofy.

Drogę tę niestety potrzeba było odbyć piechotą. Nie było pod ręką koni, którychby zaraz użyć było można; o zapuszczaniu się powozem w gęstwinę leśną niepodobna było nawet myśleć, a konie wyprężone z powozu, nie przywykłe do wierzchowej jazdy, zawadzałyby tylko mogły nieobeznany z niemi wieśniakom.

Stara kobieta zresztą przysięgała, że minuta prędzej, minuta później nic nie znaczy, i że ona wie takie środki, przy pomocy których zabity, jeśli ma żyć, to żyć będzie.

Łatwo się domyśleć, że Stella i Marynia nie poprzestały na wysłaniu pomocy, lecz same pospieszyły na miejsce.

Droga piesza przez las nieznany uciążliwą była dla nich, więc pozostały nieco w tyle. Stella miała czas szczegółowiej trochę opowiedzieć wypadek swej przyjaciółce, i w tem opowiadaniu dopiero objawił się wyraźniej ów czynnik egoistyczny, który w jej uczuciach dostrzegliśmy.

Powiedzmy bez omówień. Stella miała czas pochwalić się przed przyjaciółką, że Julian spadł z kilkudziesięciostopowej wysokości, bo się na to naraził, a naraził się dlatego, że ją kochał. Gdy dochodzili na miejsce, już Marynia wiedziała o owej lunecie w stronę Moracina skierowanej...

Niedługo potem wzrok ich już mógł objąć miejsce wypadku.

— Tam — wskazała przyjaciółce bohaterka nasza, nie śmiejąc spojrzeć w ów punkt, gdzie wyobraźnia odtwarzała przed nią straszny widok, którego tak niedawno była świadkiem.

Marynia spojrzała i zobaczyła tylko gromadkę ludzi, która je obie wyprzedziła. Ludzie ci stali z pytającym spojrzeniem na nią i na Stellę zwróconem.

Juliana żywego ani nieżywego nie było...

Gdzie się podział, nie było podobna dojsć na razie — znikł. Stara kobieta lekarka, niekontenta, że ją ominęła sposobność zaaplikowania swoich nieomylnych medykamentów, w duchu nawet zaczęła powątpiewać, czy tam był kiedy, czy całego tego wypadku nie należało uważać za jakieś pańskie przywidzenie hrabiny, bo dziwnie wzruszała

ramionami i szczególniejszym wzrokiem patrzyła na Stellę, której twarz żywym oblała się rumieńcem.

Rumieniec ten... kto zna naturę ludzką, dziwić się temu bynajmniej nie będzie... nie był wyrazem niepokoju o los Juliana, lecz zaambarasowania, że całą gromadę ludzi poruszyła bezpotrzebnie.

Na dobitkę w tej gromadzie znalazł się filozof, który właściwą swemu zawodowi metafizyką wyspekulował jak najdokładniej, co się stało.

Filozofem tym był gajowy. Kazał on ludziom ustąpić na stronę, a sam zaczął czytać w śladach na piasku, i wyczytał jak z książki, że mniemany nieboszczyk obudził się z chwilowego omdlenia, wstał o własnej sile i kulejąc trochę na lewą nogę poszedł nadół. Przy pierwszym drzewie w lesie znalazł przywiązane konia, wsiadł na niego i pojechał.

Gajowy wskazał kierunek obranej przez niego drogi tak dobrze, jakby wiedział, że bohaterem tej smutnej, ale szczęściem bez katastrofy zakończonej przygody był młody dziedzic Żółtej.

Stella rumieniła się coraz mocniej. Dałaby teraz bardzo dużo za to, żeby mogła cofnąć i odwołać to wszystko, z czem się już zwierzyła przed Marynią.

Tragedya nagle zamieniła się w farsę, krwawa katastrofa wydała się tylko jakby jakimś popisem gimnastycznej zręczności, młoda hrabina, z piedestału bohaterki przerażającego dramatu strącona, ujrzała się heroiną pantomimy jarmarcznej...

Pękałoby jej serce z boleści, gdyby u stóp rusztowania znalazła martwe ciało człowieka, który śmiercią dał dowód, jak dalece ją kochał, choć na wzajemność liczyć nie miał prawa... Byłaby szczęśliwą i dumną, gdyby jej staraniem udało się ocalić tego samego człowieka, choćby kalekę... Ale gdy temu człowiekowi nie stało się nic, prócz lekkiego może zwichnięcia lewej nogi, gdy mógł się obudzić, wstać, pójść o własnej sile i odjechać, nie oglądając się może za siebie, gdy nieszczęścia, które zdawało się tak niechybnem, cudem prawie uniknął, Stella czuła się skomomitowaną, i przyznać trzeba, że ją to rzeczywiście ośmieszało trochę.

Któż jednak temu był winien? Ona tylko. Niepotrzebnie, zbyt prędko wyspowiadała się przed przyjaciółką. Gdyby była nie mówiła, kto spadł i dlaczego spadł, nie byłaby się potrzebowała rumienić przed nią, bo zresztą na sąd całej gromady ratujących wieśniaków, na zdanie starej zażegnawczki uroków i gajowego, nie potrzebowała uważać i nie uważałaby pewnie.

Nie ma jednak takich świętych ludzi na świecie, żeby w podobnych wypadkach przyznawali winę samemu sobie. Zamiast mieć żal do siebie, Stella miała go do wszystkich: do Juliana, że się nie zabił, albo nie pokaleczył, do Maryni, że o kwadrans nie przyjechała później,

do ludzi ratujących, że ich nie było pod ręką, kiedy byli potrzebni, i znaleźli się dopiero wtedy, gdy nieszczęście chociaż kulejąc wsiadło na konia i odjechało, nic prócz śladów na piasku nie pozostawiając po sobie.

Tacyśmy wszyscy, nie dziwny się Stelli. Przypadek zesłał jej urozmaicenie na nudne chwile, urozmaicenie jeszcze przykrzejsze od samych nudów; cóż dziwnego, że nie błogosławiła tego przypadku, i że miała urazę do wszystkich, których do wystawienia ją na śmieszność użył za narzędzie, albo przywołał na świadków?.. Ciężką krzywdę łatwiej często przebaczyć niż ośmieszenie się niewielkie, a kobiety mniej do tego jeszcze są zdolne, niż mężczyźni.

Domyśliły się łatwo, że bohaterka nasza starała się pokryć swoje niezadowolenie i nie okazać Maryni urazy, zbyt bezpodstawnej, ażeby ją otwarcie wyznać było można, ale rozsnącej przez to samo, że się z nią taić było trzeba. Sama pierwsza starała się zająć obrócić w żart, być dowcipną i wesołą jak zawsze, przejść jak najprędzej do przedmiotu rozmowy bardzo oddalonego od zaszłego zdarzenia i puścić w niepamięć, co się stało.

Byłoby się to jej powiodło, gdyby Marynia pod każdym względem inaksza, poważniejsza i głębsza od swej przyjaciółki, pod jednym względem przecież nie była do niej podobną.

Marynia tak jak Stella była kobietą, a kobiety nie są zdolne długo zachowywać w tajemnicy swoich tryumfów, chociażby do nich najmniej przykładają wagi.

— Wiesz, Stello — rzekła, gdy już siedziały w powozie, a woźnica zaciął konie i szybko ruszył do Moracina — muszę ci to wyznać pod sekretem, że i mnie się zdarzyła podobna do twojej przygoda.

— A! a! — odpowiedziała Stella śmiejąc się niby, lecz niezadowolona w duchu, że Marynia, niedomyślająca się przykrości, jaką jej to wspomnienie sprawia, wraca do tego wypadku — ktoś wlaź na rusztowanie, patrzył przez lunetę, aż się tak zapatrzył, że gdy się za nim nagle ozwał huk wystrzału, spadł w piasek u twoich stóp...

— Tak... tak... tak właśnie z dodatkiem, dla większej dokładności, że przez ową lunetę tak samo wpatrywał się w ciebie, i że wolałby pewnie spaść u stóp twoich niż u moich..

— No, no, zaciekawiasz mnie strasznie... chociaż przyznam ci się, że w to nie wierzę...

— Dlaczego?

— Powiem ci zaraz... tylko zapomniałam wyrazu, którego mi potrzeba dla uroczystości... Jakto pewnik nazywają z łacińskiego czy z greckiego?

— Aksjomat...

— Właśnie... tego szukałam... ty Maryniu jesteś słownik chodzący, daleko dogodniejszy od tych w bibliotece, bo tam trzeba by było szukać pół godziny. Otóż aksjomatem jest, że historia się nie powtarza...

— Ba! nie powiedziano tego o historii serc ludzkich... ta od początku świata wychodzi codzien w nowej edycji.

— Przejrzanej i poprawionej?..

— Gdzietam!.. w stereotypowanej z wiecznie temiz samemi błędami... Otóż pan Ignacy Strzyż z Pławic, który, jak ci wiadomo, wdrapał się onego czasu na rusztowanie miłości i przez lunetę nadziei wpatrywał się w ciebie, przerażony hukiem gromu, jakim dla niego było twoje zamążpójście, spadł w piasek u stóp moich...

Stella spojrzała na nią niedowierzającym wzrokiem.

— Jakto?.. ukląkł przed tobą i drżącym głosem wyznał ci miłość... je le vois d'ici dans cette attitude... pysznie musiał wyglądać!

Roześmiała się. Śmiech jej tym razem był trochę suchy i nie tak przyjemny jak zwykle.

Marynia zmierzyła ją wzrokiem badawczo. Chciała niby o coś zapytać i powstrzymała się, a po chwili odpowiedziała spokojnie:

— Mówiłam przenośnie... nie klęczał przedemną i nie wyznawał mi miłości, ale oświadczył się o moję rękę twoim rodzicom, jako jedynym moim opiekunom...

— Dawno?

— Wczoraj.

— I cóż rodzice?..

— Odpowiedzieli mu, jak się domyślasz...

— Że wszystko zależy od twojej woli, nieprawdaż?..

— Tak, że mnie zapytają, i dzisiaj dadzą mi odpowiedź... potem...

— Potem ojciec radził ci, żebyś przyjęła propozycją, mama, żebyś się nie spieszyła, bo się coś lepszego trafić może... A ty?..

— A ja przygotowałam się na dzisiaj, żeby dać panu Ignacemu solenną odpowiedź. Byłby ją otrzymał już w tej chwili, ale w nocy przyjechał posłaniec od ciebie,zywający, żebym spieszyła na ratunek, bo umierasz z nudów. Naturalnie, nie wahałam się ani chwili. Powiedziałam sobie, że pan Ignacy mnie nie ucieknie, a twoje nudy gotów kto rozprószyć bez mej pomocy, i stracę sposobność dania ci dowodu, że choć masz męża, włości i tytuły, mogę ci przecież być na co potrzebną. Pan Ignacy przyjedzie i dowie się, że mnie nie ma...

— Powiedźże mi, co mu myślisz odpowiedzieć?..

— A cóż?... myślę... przyjąć...

O! — rzekła dziwnym głosem Stella.

Zamilkły obie. Marynia widać czekała zapytania o powody takiej decyzji, Stella zaś spodziewała się, że ją Marynia z własnego popędu wytłumaczy. Zawiodły się, a zawód ten dziwne im obu ponasuwał myśli.

Dwaj wielbiciele, pozostali z panieńskich jeszcze czasów, stanowili dumę Stelli. Trzymała ich w bardzo znacznej od siebie odległości, ale pragnęła, żeby byli w jej orszaku. Teraz obaj ci wielbiciele znikali: jeden ją

ośmieszył, drugi się zenił. A wszysktemu winną była Marynia. Gdyby była nie przybyła tak spiesznie, niktby nie wiedział, kto był bohaterem tragikomicznego wypadku przy znaku topograficznym, gdyby była nie chciała, Ignacy pewnoby nie pomyślał starać się i oświadczać o nią.

Tak sobie rozumowała Stella. Żal jej do Maryni podwoił się.

Co myślała Marynia, nie tak łatwo opowiedzieć. Potrzeba na to streścić całą historją jej romansu z Ignacym. Mówimy romansu, bo co się kończyło oświadczeniami, powinno być romansem.

Jeżeli to jednakże był romans, to był bardzo oryginalny.

Pamiętamy, że Ignacy zbliżył się do Maryni w przeddzień ślubu Stelli z Ludwikiem. Zbliżenie to było bardzo naturalne: szukał powiernicy. Częściej daleko poważna i smutna niż uśmiechnięta i szczęśliwa Marynia, wydała mu się najwłaściwszą do tej roli. Już dawniej poznał jej rozsądek, ocenił jej charakter, już dawniej uczuł dla niej przyjaźń prawdziwą. Zaczął z nią mówić o Stelli, i znalazł w niej to, co najtrudniej znaleźć w kobietach: pobłażanie i przebaczenie, że się zajmował nie nią, ale jej przyjaciółką. Dobrze przyjęcie ośmieliło go, w kilku następnych widzeniach się odkrywał jej coraz bardziej stan swojej duszy, zbyt wyraźny zresztą, żeby długich starań było potrzeba, ażeby go całkiem odsłonić.

Wyznał, że zawód miłośny złamał go i zabił moralnie. Nie widział już w przyszłości dla siebie żadnego szczęścia, nie czuł w sobie siły i energii do walki życia. Był połową siebie, moralnym kaleką, niezdolnym do niczego, strawionym.

Mówił to z przekonaniem i miał prawo wierzyć w to, co mówił, bo tak rzeczywiście było.

Zostawiony sam swojej rozpaczycy zwiądłby i zmarniał. Łagodna melancholia i apatya byłaby kresem, do którego doszedłby wkrótce. W innej jakiej epoce poszedłby na wojnę, żeby zginąć, albo zamknąłby się w klasztorze, albo osiadł na puszczy, albo wybrał w jaką awanturniczą po wszystkich częściach świata pielgrzymkę. Dzisiaj tacy złamani, straciwszy siły do dalszego życia, więdniję w miejscu zwolna i pocichu...

Szczęściem trafił na powiernicę, która była filozofią praktyczną.

— Lecz się pan, to choroba... — rzekła do niego Marynia.

— Tak pani, choroba, ale nie ma na nią lekarstwa...

— Jest, panie... jest i nietrudne, a nawet nie bardzo przykre: trzeba sobie znaleźć w życiu jakiś obowiązek i oddać się całą duszą spełnieniu tego obowiązku.

— Czyż to wystarczy?

— Wiele chwil zajmie, a tę resztę, co pozostanie, łatwiej przenieść...

— Wskaż mi pani taki obowiązek...

— W obecnej chwili nie jest to trudnem... powiedz pan sobie, żeś powinien zostać wzorowym obywatelem kraju, żeś powinien ukształcić i podnieść do prawdziwie obywatelskiego stanowiska lud swojej wioski; żeś powinien otoczyć szczęściem i dostatkiem jaką biedną a uczciwą dziewczynę, i zostawić krajowi kilku rozumnie wychowanych synów; że ci wolno być nieszczęśliwym, ale nie wolno pozbawiać ojczyzny tego, coby miała z pana, gdyby się szczęście i do ciebie uśmiechnęło.

— Pani mi zatem radzisz... ożenić się... bez miłości?

— Tak panie.

— A sama, gdybyś była w podobnem mojemu położeniu, poszłabyś pani za męża, bez miłości?

— Gdybym wiedziała, że w tem zamążpójściu życie moje pożyteczniejsz upłynie, niż w staropanieństwie lub klasztorze...

Ignacy się zamyślił. Pierwszy to raz z ust uczciwych i czystych usłyszał, że małżeństwo bez miłości może być aktem szlachetnej ofiary, gdy zwykle bywa tylko wynikiem kombinacji towarzyskich lub finansowych. Zrozumiał, że gdyby się znalazło dziewczę, upadające równie jak on pod ciężarem serdecznego zawodu, jedynem wyjściem dla nich obojga byłoby połączenie się z sobą, ażeby sobie wzajem ułatwili dźwiganie ciężaru życia; spełnianie obowiązków, jakie on nakłada...

Myśl ta zajęła go żywo, i naturalną koleją rzeczy zaczął się bardziej interesować tą, która mu ją poddała.

Przyjaźni jego z Marynią przybyło jedno więcej ogniwo, i wkrótce przyszło do tego, że i on zaczął czytać w tajnikach jej duszy.

Wyczytał tam ukrytą głęboko, tajoną starannie, ale właśnie przez samo usiłowanie utajenia zdradzającą się niekiedy miłość.

Marynia kochała Juliana.

Ignacy zgadywał to z początku, później, powoli wy dobył zwierzenia.

I ona zatem była nieszczęśliwą, ale dla niej była jeszcze nadzieja szczęścia.

Ignacy pośpieszył do Żółtej, sądząc, że mu się uda jakimkolwiek sposobem wpłynąć na przyjaciela, skierować myśli jego ku tej, która swe serce w ciszy i milczeniu mu oddała, i w końcu zostać swatem swej lekarki.

Gdy przybył, Juliana nie było w domu.

— Gdzież pan — zapytał starego sługi, który od dzieciństwa zostawał przy Julianie i kochał go jak rodzzonego syna...

— At, paneńku!.. — odpowiedział stary i machnął ręką.

— Cóż?, wyjechał?... na długo?...

— Wyjechał... oczywiście jak co dzień... źle się dzieje z naszym paniczem, zupełnie źle, paneńku...

— Cóż takiego?... zaniedbał gospodarstwo?...

— Nie dba o nic... zaniedbał wszystko.. ot, dla głupstwa...

— Zakochał się gdzie w okolicy?...

— Gdyby jeszcze zakochał... dałby to Bóg... ale jemu..., Panie Boże odpuść, poprostu w głowie jakby coś... paneńku...

To mówiąc, stary zrobił ręką koło czoła giest bardzo charakterystyczny.

Ignacy się oburzył.

— Pomieszało ci się w głowie, mój stary... cóż robi?...

— Ot, gwiazd po niebie szuka w biały dzień przez szkła, paneńku... a gospodarstwo zdał na moje oczy i głowę, a ja paneńku stary, ślepy, głupi i niedołęga...

— Jakto gwiazd szuka?

— A ot... jeździ tam, — rzekł stary sługa wskazując ręką kierunek, — robi kilka mil opętanych konno, patrzy przez kilka godzin przez szkła w niebo... powraca, zamyka się... mało jé, nie nie pije, z ludźmi gada tylko z napaści i ot... Ja to wszystko wypatrzyłem, bo jabym za niego życie oddał, paneńku...

Tym sposobem Ignacy dowiedział się o codziennych wycieczkach Juliana do topograficznego znaku i z łatwością ich cel zrozumiał.

Doczekał jego powrotu, próbował perswazyi, ale Julian na samą myśl, żeby zaniechał tych niedorzecznych wycieczek, wpadał w wściekłość. Wzmianka o Maryni nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, propozycją przejechania się do Gromnic przyjął wybuchem.

Ignacy prędko się przekonał, że myśl, jaką powziął, była niewykonalną.

Nazajutrz pojechał do Gromnic i rzekł do Maryni:

— Potrafisz pani radzić, i widzisz sama, że rady twoje wywierają wpływ zbawienny... Czy umiałabyś pani także posłuchać podobnej rady?...

— Tak sądzę — odrzekła drżącym głosem.

— A zatem... powiem pani... byłem w Żółtej... widziałem wszystko, i...

— I?...

— I radzę pani iść za męża... bez miłości.

Marynia westchnęła, coś jakby lzy stłumione zaświeciło brylantowo w jej oczach, i odpowiedziała z boleśnem westchnieniem:

— Wiedziałam, że tak... być musi!...

Tegoż dnia jeszcze Ignacy oświadczył się rodzicom Stelli o rękę Maryni — było to w przeddzień katastrofy.

(Dokończ. nastąpi)

Po latach wielu.

(Obacz rycinę na stron. 152.)

Przed śmiercią jeszcze wrócić do swej ziemi!
Słów tych harmonio jakże jesteś słodka!
Tobą wygnańcza tętni każda zwrotka,
Tobą wytkana, jak niemi srebrnemi,
Tułających myśli kanwa wiecznie szara,
Po której sieje krwawy haft ofiara.

W radości chwilach, wśród kramarskiej wrzawy,
Wśród arcydzieł, wśród bogactw i sławy,
Pod włoskiem niebem, czy kędy lśniącemi
Śnieg brylantami maluje bieguny,
Brzmi głos cichutki, jak wibracja struny:
Och, byle wrócić jeszcze do swej ziemi!

Widoki świata migają przed okiem,
Niby obrazki na szklach panoramy,
A pamięć wiecznie, jak tknięta urokiem,
Otwiera na ścież wspomnień złote bramy;
Obecność gaśnie... myśl usta drzącemi
Powtarza: Wrócić, wrócić do swej ziemi!

Kto słyszał ciebie jęku niestłumiony,
Którym się serce polskie Bogu zebrze,
Kto widział kraj swój słodko naprzykrzony
W purpurach zorzy i w księżycu srebrze,
W snach niespokojnych, gdy płacz własny budzi:
Ten zna tęsknicę Aniołów i ludzi.

Lecz kto straciwszy ostatnią nadzieję,
Śmierć już uczuwał i ten wyrok boży
Słyszając, rozpaczny słańia się i chwieje,
Bo wie, że kości wśród obcych położy,
Wie, że w pragnienie włożył siłę całą
I ledwie na śmierć czasu mu zostało;

Kto w chwili takiej straszliwym zamęcie
Usłyszał słowo: Wracaj, jesteś wolny!
I łkać niezdolny ni śmiać się niezdolny,
Brzeg ukochany chwytając w objęcie,
Upadł wołając: Ojczyzna! Ojczyzna!
Ten poznał roskosz silną jak trucizna!

Tak ja wracałem. Cicho, serce, cicho!
Twój tętent słowa w piersiach mi przecina.
Słońce witało mnie z radością pychą,
Liść mnie pozdrowiał każdy i krzewina,
Zboża się z wiejską prostotą kłaniały,
Widząc, że młode, a ja dziad tak biały.

Tak, — ziemię całą poznałem, zakątek
Każdy, i z każdą z milczących pamiątek,
Lecz żywych ludzi moich już nie było:
Jedni leżeli cicho pod mogiłą,
Drudzy w dalekie poszli kędyś drogi,
Innych los pędził, los jak dla mnie srogi.

Milił się do mnie dworek modrzewiowy,
Lipa matczyna i jawor ojcowy,
Lecz z okien obcy ludzie wyglądali,
Obcy pies warczał ponuro na progu.
Znać się tak zrobić podobało Bogu,
Dom przeżegnałem i poszedłem dalej.

Nikogo z żywych! Więc ciągnąłem wolno,
Do zwalisk zamku, które były świadki
Pierwszych psot moich, pierwszych lękań matki
I dni dziecińczych z swobodą swawolną.

Krzepko się jeszcze chroniła ruina,
Bluszcz ją jak dawniej opinał i trzymał,
Szczeryby zatykał liść dzikiego wina,
Wiatr po szczelinach targał się i zżymał,
Z fontanny woda spływała do ziemi
Na darń spragnioną łzami rzęsimi.

Zamkowej nie wziął nikt w dziedzictwo brony,
Zostali jeszcze posiadacze dawni:
Mocniej rozsiadły mech ciemno-zielony,
Zniszczenie, coraz nurtujące jawniej,
I jak proporzec wiotka i wspaniała,
Wyrosła z trupa zamku brzoza biała.

Tam ja usiadłem; mrużąc wzrok na słońce,
Pies u nóg moich przyległ pieszczośliwie,
A bluszcz zielony, liście wina drzące,
Wiatr zawodzący po zamku jękliwie,
Słyszałem, słowa mnie witały temi:
Otóż nareszcie wrócił do swej ziemi!

I pod ten szelest przyjazny a cichy,
Marząc, patrzyłem ku cmentarza stronie,
I anim z bólów moich nie brał pychy,
Anim piołunu kropli nie miał w łonie,
Lecz dziękowałem Polsce, świętej Pani,
Za to, że mój tyle mógł wycierpieć dla niej.

WŁ. ORDON.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 22. maja 1872.

(Akademia polska w Krakowie a opinia. — Maj jak lipiec. — Występy p. Rapackiego na scenie lwowskiej. — P. Ładnowski dyrektorem sceny. — Ruch muzyczny. — Szlachetne cele podjętą życia towarzyskiego. — Wystawa obrazów. — Brak nowości księgarskich. — Przyjazd Seweryna Goszczyńskiego.)

Pierwszorzędnego dla nas znaczenia fakt spełnił się właśnie. Za osobistą inicjatywą cesarza Franciszka Józefa utworzona „Akademia polska“ z siedzibą w starożytnej uniwersytetu Jagiellońskiego stolicy, w Krakowie, ostatnimi czasy otrzymała pierwsze podwaliny swego bytu, mianowicie przez wybór członków rzeczywistych, do którego przystąpiło Towarzystwo naukowe krakowskie na wezwanie kuratora „Akademii polskiej“, arcyksięcia Karola Ludwika — wezwanie, technące najżywszą życzliwością i troskliwością o los tego młodego instytutu naszego.

Z żalem wyznać tu potrzeba, że kraj cały nie okazał takiego zajęcia się nowo powstającą, Akademią na jakie sprawa jej zasługiwała, co tem bardziej smuci i razi, że jak widzieliśmy, doznała ona sympatii i rzetelnego zainteresowania się nią w sferze poza krajowej — u rodziny cesarza austriackiego. Publiczność nasza jak zazwyczaj przyjąwszy do wiadomości faktu dokonane, obojętnie czekała „co dalej będzie“, a dziennikarstwo też sobie czekało, tak że dopiero po dokonanych wyborze pierwszych 12 akademików wszczęła się żywa polemika o listę osobistości powołanych do zajęcia krzesła akademickich i o sposób ich wyboru. Zarzucają mianowicie, iż wybór ten członków rzeczywistych odbył się na zasadzie, że tylko członek Towarzystwa naukowego krakowskiego zamieszkały w Krakowie mógł figurować na liście kandydatów, czem wykluczono zupełnie od inicjatywy w sprawach zarządu wewnętrznego Akademii znakomitości polskie nie zamieszkałe w Krakowie. Zarzut ten zdaniem naszym ma za sobą wiele słuszności. Powołaniem do zarządu Akademii samych tylko Krakowian zlokalizowano niejako ten instytut, co osłabić musi jego znaczenie. Z tem wszystkim jednak piszemy cię bez zastrzeżeń prawie na listę wybranych członków rzeczywistych, oprócz bowiem dwóch lub trzech osobistości, mniej może odpowiadających warunkom dostąpionej tu godności, mieści ona imiona poważne i powszechnie znane i czone. Powołani zostali na członków rzeczywistych Akademii: pp. dr. Józef Kremer, dr. Wincenty Pol, profesor Józef Szujski, dr. Antoni Walewski, profesor dr. Karol Mecherzyński, profesor dr. Julian Dunajewski, Łucyan Siemieński, dr. Karol Estreicher, tudzież doktorowie Józef Majer, Teichman, Skobel i Kuczyński.

Więcej nierównie niż sprawą utworzenia Akademii polskiej, tak publiczność jak i publicystyka nasza zajmują się obecnie sprawą — powietrza i upałów nieznosnych, jakie nawiedzają naszą prowincję w niebywałym o tej porze stopniu, grożąc klęską gospodarstwu rolnemu i zdrowiu. Powietrzu temu jednak zawdzięczają mieszkańcy miast, a zwłaszcza Lwowa wczesne w tym roku „majówki“, rozbudzające w wysokim

stopniu życie towarzyskie martwych po największej części społeczności naszych miejskich. „Majówki“ takie i zabawy ogrodowe zapełniają teraz cały program dni lwowskich — budzimy się już codziennie w kolorze „zielonym“, bo kto rano nie pije wody mineralnej na Zamku, albo mleka na Zofiówce, tego z pewnością nie minie wieczorny koncert w ogrodzie miejskim albo dalsza jaka wycieczka w piękne okolice Lwowa. Prostem zaś tego następstwem są pustki w teatrze i salach koncertów i odczytów; i nie dziw, odetchnienie dobrem powietrzem potrzebniejsze częstokroć nietylko dla organizmu ale i umysłu ludzkiego, niż wrażenia doznawane z sztuki.

Występy gościnne p. Wincentego Rapackiego, artysty teatrów warszawskich, poczęły znów liczniejszą ściągac publiczność do teatru, a gra tego artysty usprawiedliwia zupełnie tę skwapliwość publiczności. Widzieliśmy pana Rapackiego w rolach księcia Radziwiłła „Panie Kochanku“ w komedii t. n. Kraszewskiego, doktora Vauclin'a w „Safandulach“ Sardou, radcy w „Radcach“ Bałuckiego, Jaga w Szekspirowskim Otellu i Harpagona, skąpca Molierowskiego, i widzieliśmy jakie stanowcze odnosił za każdym z swych występów zwycięstwo nad wrażeniami widzów. Artysta ten celuje mianowicie w oddawaniu charakterów, wypracowując je do najdrobniejszych szczegółów i odcieni w ścisłych granicach danej indywidualności. Ztąd to w grze jego każdy ruch, każde wysłowienie się jest odbiciem właściwego wyrazu psychicznego i nadaje jej tyle pociągającej i przekonywującej siły, że widz natychmiast pogodzić się musi z ołsniewającą go z tej gry prawdą życiową. Pojęcie i przejęcie się na skrót rolę, aż do zupełnego zatarcia osobistych cech intelektualnych i zewnętrznych artysty, jest bezwątpienia najwyższym jego mistrzostwem, i w tym właśnie kierunku podziwiamy talent pana Rapackiego, który też odpowiednio w każdej roli przetwarzać umie i powierzchowność swoją tak doskonale, że za maską jego i kostiumem nigdy widz pochwyć nie zdoła naturalnej fizjonomii artysty. Jak coraz to innym że się tak wyrazimy z gruntu umie być p. Rapacki w kreacjach swoich, dość zestawieć portret jego „Radziwiłła Panie Kochanku“ z portretem n. p. Vauclin'a w komedii „Safandulach.“ Z całą przytem sumiennością przestrzega artysta dokładności w charakterystyce, maskach i kostiumach swoich pod względem właściwości epoki i społeczeństwa, na tle których przesuwają się postaci, którą oddaje. Co jeszcze zdaniem naszym nader korzystnie wyróżnia grę p. Rapackiego od gry innych artystów oddających te same role, to dziwny spokój, umiarkowanie, utrzymujące w skończonej harmonii rozliczne momenta i szczegóły tej gry i wiążące je w najpoprawniejszą całość. Znalazły się wprawdzie głosy, które z wysokiej zalety tej artysty dramatycznego czyniły zarzut p. Rapackiemu, wytykając mu n. p. w grze Vauclin'a zbyt jakoby takt, powolność; mniemamy wszakże, że zarzuty tego rodzaju pochodzą tylko ztąd, iż publiczność tutejsza przywykła mocno do sposobu, w jaki oddawał tę rolę przedtem p. Królikowski Karol, nie hamujący nigdy artystyczną miarą gry swojej.



POWRÓT WYGNAŃCA.

(Obacz stron. 150.)

Poznawszy talent i wysoką inteligencją artystyczną pana Rapackiego nie podobna nie zapragnąć, ażeby artysta ten stale już pozostał z nami, i znakomitemi zdolnościami swemi wsparł usiłowania młodej sceny lwowskiej. Scenie warszawskiej, posiadającej Jana Królikowskiego i Żółkowskiego, przeniesieniem się swem do Lwowa nie wyrządziłby on znacznego uszczerbku, jakkolwiek i tam pożądanym jest bardzo jako artysta o zupełnie samodzielnem pojmowaniu sztuki; korzyść zaś, jaką przyniosłby scenie lwowskiej, złożonej przeważnie z młodych, potrzebujących jeszcze wzorów i doświadczenia talentów, byłaby ogromną. Obok p. Bolesława Ładnowskiego, któremu w ostatnich czasach zarząd teatru powierzył dyrekcją artystyczną sceny i niezaprzeczenie najstosowniejszy uczynił wybór — obok tego artysty pan Rapacki miałby tu obszerne pole do rozwinięcia swej artystycznej działalności i podniesienia sceny do wielkiej świetności. Spotkać się można wprawdzie z szeptami o rywalizacji tych dwóch artystów, i wysnuwanym ztąd wnioskiem, że nie zechcą pracować obok siebie na jednej scenie; szepty te jednak mogą być tylko częścią kombinacją małodusznych, nie pojmujących, że artysta prawdziwy nigdy osobistego interesu nie postawi przed interesem sztuki swojej, że owszem gotów jest nawet poświęcić niejedno ze swego ja dla dobra i wzrostu sztuki. A właśnie za takich prawdziwych, rzetelnych artystów uważamy tak pana Ładnowskiego jak i Rapackiego.

Opera rozwija się ciągle i bardzo pomyślnie, udział też publiczności w jej wieczorach nierównie żywszy jest niż w przedstawieniach dramatu i komedyi. Już dziś żadnej obawy nie ma o losy opery polskiej we Lwowie; przeciwnie, sądzićby już można, że właśnie opera materialnie podtrzyma przedsiębiorstwo sceniczne i przysporzy mu funduszu na rzecz dramatu i komedyi. Zarząd rozwinął też usilną staranność w tym kierunku i coraz to nowe pozyskuje głosy, ażeby sprostać mógł wystawianiu najpoważniejszych oper. „Fausta“ Gounoda, dzieło olbrzymie i bardzo znacznych sił i studyów wymagające, po czterykroć widziliśmy wystawione z najzupełnijszym powodzeniem, i zawsze przed przepelnionym amfiteatrem. W „Trawiacie“ po raz pierwszy występowała jako gość pani Friderici-Jakowicka, uczennica opery warszawskiej a obecnie primadona opery w Palermo, posiadająca rzadkiej czystości głos i nadzwyczajną biegłość w jego użyciu. Publiczność nie ma dość oklasków dla tej artystki.

Towarzystwo muzyczne ukończyło już całą seryą swoich wieczorków, a w dniu 20. b. m. wystąpiło z wielkim koncertem, drugim z kolei, którego program i wykonanie wynagrodziły nam sownie zbyt długie czekanie na tę produkcję. Mieliśmy także dwa koncerty panny Menter, pianistki, i pana Poppera, wiolonczelisty — koncerty, którym nie dopisała publiczność względnie do ich rzeczywiście wartości.

Już to musimy Lwowianom oddać tę sprawiedliwość, że gdyby nie ten niepocząciwy p. Sidoli ze swemi czworonożnemi „artystami“ i „nieprześcignionemi w jeździe Sylfidami“, pamiętaliby oni może więcej mimo upałów i zielonej przyrody o przybytkach muz! Cóż kiedy p. Sidoli wziął się na nich i dzień w dzień kolosalnemi afiszami zapraszał ich do podziwiania swoich „Sylfid“ — a jakimi słodkimi słowy zapraszał! Dobrze serce lwowskie prawie oprzeć się nie mogło takiemu zaproszeniu,

więc też cyrk p. Sidolego licznych znachodził amatorów, wtedy gdy teatr, koncerty, sale odczytów były prawie puste...

Utrzymywanej ciągle na porządku dziennym opinii sprawie składek na oświatę ludową, zawdzięczamy nie jedną miłą chwilę z ostatnich dni. Piękny ten cel wywołuje ciągle przedstawienia amatorskie, odczyty i zabawy towarzyskie, a to nie tylko w stolicy, lecz bardzo często i na prowincyi, we wszystkich stronach kraju. Szczególniejszego powodzenia doznało tu przedewszystkiem przedstawienie amatorskie młodzieży akademickiej, połączone z koncertem pod dyrekcją p. dyrektora Mikulego, i także przedstawienie urządzone przez młodzież rzemieślniczą Stowarzyszenia „Gwiazdy“ na wolnem powietrzu podczas majówki w lasku Krzywczyckim. Skarb oświaty znaczną kwotę zawdzięcza tym szlachetnym usiłowaniom naszej młodzieży w ogóle. — Odczyty publiczne na ten sam cel odbywają się właśnie raz w tygodniu, dość liczną, względnie do warunków pory, gromadząc publiczność. — „Opieka narodowa“ nie zaniedbuje się także i jednocześnie z „Oświatą“ krząta się gorliwie około przysporzenia sobie zasobów. Urządzona dnia 20. b. m. zabawa ludowa wraz z Bazarem w ogrodzie miejskim, wcale znaczny dochód przyniosła „Opiece.“ Tylko kopiec Unii mógłby dziś jeszcze pomówić o obojętność publiczność lwowską, nie doznaje bowiem takiego z jej strony udziału, na jaki zasłużył, a nadto powódź, która niedawno nawiedziła Lwów, znaczną mu wyrządziła szkodę, podmulwszy dwuletnią pracą wzniesione nasypy. Paniom naszym winniśmy tu koniecznie, choć nie bez zazdrości utajonej, oddać słusność, że nierównie gorliwiej pracują około kopca, niż my, panowie... Rumieńmy się więc, panowie, lecz bierzmy sobie z pań przykład!

Od tygodnia otwarta wystawa obrazów lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w zaczątkach już swoich poszczycić się może niejednym cennym utworem malarstwa i rzeźby. Zastrzegając sobie na przyszłość, gdy sztalugi wystawy zapelnia się nadsyłanemi ciągle obrazami, obszerniejsze o niej sprawozdanie, poprzestajemy dziś na wzmiance, że nastęrcza ona publiczności sposobność poznania najnowszych utworów wszystkich prawie artystów naszych i wielu zagranicznych. Prace Kossaka, Leopolskiego, Sidorowicza, Brochockiego, Mireckiego, Gryglewskiego, Kozakiewicza Antoniego i Grabowskiego, z malarzy, a Zaleskiego, Wiśniowieckiego, Trembeckiego i Baracza z rzeźbiarzy stanęły pod każdym względem w pierwszym rzędzie okazów tegorocznej wystawy artystycznej lwowskiej. Osobno zaś zwracamy uwagę amatorów na pojawiające się może po raz pierwszy na polskiej wystawie sztuk pięknych szkice dekoracyjne, tym razem pędzla p. Erazma Fabiańskiego, który wykształciwszy się w swej sztuce za granicą, powrócił do kraju w chęci poświęcenia mu swej pracy. Szkice, o których mowa, świadczą nadzwyczaj pochlebnie o talencie p. Fabiańskiego, i nie omylimy się podobno, gdy go nazwiemy jedynym obecnie w kraju artystą dekoratorem. Zarząd nowej sceny lwowskiej powinien też korzystać bez odwołki z nadarzającej się sposobności zaangażowania p. Fabiańskiego, jako stałego swego dekoratora.

Chciałbym coś jeszcze wspomnąć o świeżych publikacjach, ale mimo najszczerzych chęci nie uda mi się to podobno, a to z tej najprostszej przyczyny, że nie mogłem materiału

odszukać po temu. Jedyłą książką majową, o której wie moja pamięć kronikarska jest... tylko proszę się nie przestraszać!.. jest dzieło p. Edwarda Pietrzyckiego, naczelnika lwowskiej Izby obrachunkowej miejskiej: o zastosowaniu w praktyce rozmaitych sposobów prowadzenia ksiąg kupieckich, przeprowadzone w odpowiednich, łatwo do pojęcia trafiających przykładach. Przy zupełnym w handlowej literaturze naszej braku tego rodzaju podręcznika, książka p. Pietrzyckiego jest nowością bardzo pożyteczną, i dlatego nie waham się z żywym zadowoleniem wspomnieć nawet w tej „majowej“ kronice o tym płodzie tak niekwietyj natury, jak rachunkowa... Kto wie jednak, czy plody takie właśnie nie są obecnie pożądańszymi dla naszego ogółu, niż niejeden rzekomy „kwiatek“ nadobnej literatury!

Sędziwy autor „Zamku kaniowskiego“ po 40 latach tułactwa na obczyźnie powróciwszy do kraju osiedlił się stale we Lwowie. Doznał tu najserdeczniejszego przyjęcia, równie jak w Krakowie, gdzie zatrzymał się był dwa tygodnie.

Niechże więc z laski tułaczey, wetkniętej
W ziemię ojczystą, gałązki wystrzelą,
I niech Mu dadzą cień — i kwietne pręty
Niech Mu pod stopy utrudzone ścielą,
By nam był taki sercem uśmiechnięty
Jako rycerze, którzy się weselą
I już najtwardszej swej nie czują zbroi,
Gdy do ojczystej przybili ostoi!

B. K.

Bruksella 30. kwietnia.

Słótko o *Mazzinim* i o stosunkach jego z Polakami. — *Le Hon.* — *Morse.* — Obiady pana Thiersa i wystawa hippiczna. — *Courbet.* — Rozdawnictwo nagród w Sorbonie: p. *Bousseresq* i p. *Grandidier.* — Mowa Juliusza *Simon:* o ubóstwie Francyi. — Francya a Polska. — Państwo *Lacomb.*

(*Z. F. M.*) Wprawdzie zapożno to już dziś pisać o zgonie *Mazziniego*, ale mąż ten zasłużył przecież na wzmiankę i w waszem piśmie. Któż nie zna tego imienia? Każda chwila ważniejsza dla dziejów ludzkości, każdy ruch ku wolności i postępowi brzmiała niem. *Mazzini* urodził się 1805 r. Żył i umarł biedny, skromny i uczciwy. Czterdzieści lat wygnania, walki, prześladowań zacieklej, strawiły i wyniszczyły żywotne siły tego męczennika zasad i przekonań, od których nigdy w życiu nie odstąpił. *Mazzini* cierpiał i walczył, a jednak nikt może ze śmiertelnych nie doczekał się urzeczywistnienia swych marzeń tak rozległego jak on. Jedność Włoch oswobodzonych była celem, do którego zwracał wszystkie swoje usiłowania, nie zrażony, nie zniechęcony niczem, i oto za życia jeszcze jego Włochy stały się wolnymi i zjednoczonymi: nie w takiej wprawdzie formie jak pragnął, gdyż *Mazzini* był apostołem, rzecznikiem i szermierzem republikańskiej idei, lecz szczęśliwy początek mógł go przejść słodką nadzieją, że w niedalekiej przyszłości ojczyzna jego dojdzie do urzeczywistnienia ideału, jaki on jej przed oczyma postawił. Wielka ta postać wszechstronnie myślą objęta, wzbudza cześć i podziw. *Mazzini* rewolucjonista, myśliciel, działacz, filozof-spirytualista, nieprzyjaciel przesądów, socyalista praktyczny i przekonany, przedstawia oku badacza harmonijną pełnię potężnego ducha. Jak każda wielkość i on miał takich, co nie będąc w stanie go zrozu-

mieć, ciskali nań za to kamieniem potępienia. Już to samo, że wbrew szkole utylitaryzmu nie uznawał innej polityki jak tę, która się na moralności opiera, musiało mu szerokie koło nieprzyjaciół wyrobić; a jednakże potężna ta osobistość wywierała wpływ nie tylko w sferze działań politycznych, gdzie miał adherentów i stronników, lecz i w stosunkach prywatnych, gdzie miał bezwzględnych, ubóstwiających go czcicieli. Jednym z takich był znany i szanowany w emigracyi Stanisław Worcel. Ten w Londynie w ścisłej z *Mazzinim* będąc zażyłości, do zaślepienia posuwał adoracją swoją dla niego. *Mazzini* był wyrocznią, w którą bezwzględnie wierzyli jego przyjaciele. W rozmowie zdarzyło się czasem, że nagle podnosił przymknięte źrenice, i wtenczas z czarnych jego oczów padały smugi światła, opromieniające piękną twarz jego, i magnetycznym wpływem opanowywały przytomnych. Ci, którzy mieli szczęście znać *Mazziniego*, wiedzą, jakie skarby uczucia, szlachetności, wzniosłości kryła w sobie czysta jego dusza. Biografia *Mazziniego* jest nierozzerwanym węzłem spojona z historią Włoch i demokracji europejskiej od 1830 roku. W dwudziestym roku życia widzimy go już konspiratorem; wygnany z Piemontu, zaczyna tworzyć to, co nazywali w urzędowym języku utopiami *Mazziniego*, a co później prawie literalnie się spełniło. Lecz nie tu miejsce na szczegółowe zastanawianie się nad tą tak pełną, tak bogatą w czyny i ideje egzystencją. Dodamy tylko, że więziony, skazany na śmierć przez uduszenie i ezgekwowany zaocznie na placu w Genui, rodzinnem swoim mieście; ubogi, samotny, cierpiący, wyszydzany za życia, został *Mazzini* po śmierci patronem oswobodzonej Italii, drogąskazem wyswobodzającej się ludzkości. Rozpisałem się obszerniej o *Mazzinim*, niż na to szczupłe ramy kroniki pozwalają; lecz potrzeba wziąć na uwagę, że dla nas ma on podwójny interes: jako czynnik bardzo ważny w dziejach naszego stulecia, i jako człowiek sprawę polską znający, interesujący się nią i osobiście z wielu znanymi Polakami węzłem przyjaźni i zażyłości związany. Bliższe z nim stosunki mieli prócz wspomnianego już Stanisława Worcela, Ludwik Bulewski, Zygmunt Miłkowski i wielu innych.

Mówią, że *Mazzini* zostawił po sobie pamiętniki, które mają być wydanymi w Londynie. Pewien wydawca ofiarował już za nie 300000 franków.

Trzymając już nitkę wspomnień pośmiertnych, pójdę za nią dalej: Umarł *Le Hon*, znany badacz naturalista. Popularny i przystępny w dziełach czysto naukowych, jak *Astronomia*, *Meteorologia* i *Geologia* uprzystępniona dla wszystkich, która to książka doczekała się sześciu edycji. Do tej samej kategorii dzieł popularnych możnaby zaliczyć jego *l'Homme fossile* (Człowiek skamieniały), gdyby nie to, że tu już wpada w badania głęboko uczone, szczególnie co do mieszkań nawodnych w Szwajcaryi. Belgia szczyci się *Le Honem*, stawiając go wyżej, niż znakomitego *Louis Figuiera*.

Urodził się on w Ville-Pommeroul, w prowincyi Hainaut; skończywszy szkoły, uchylił się od karyery handlowej i wszedł do służby wojskowej, w której wkrótce został mianowany profesorem w szkole wojskowej, na której to posadzie dwadzieścia sześć lat zostawał. Śmierć zaskoczyła go, kiedy nową przygo-

towywał do druku pracę, traktującą o rybach terytoryjnych w Belgii.

W Ameryce umarł wynalazca telegrafu elektrycznego, fizyk Morse, przeżywszy lat 81.

Z krainy cieniów, do której nas cześć dla wielkich uczonych i zasłużonych ludzi pociągnęła, potrzeba przejść nareszcie do słońca i życia. Niech umarli błędzą po Elizyjskich polach, a my chodźmy; dokąd? czy do pałacu Elizejskiego, gdzie państwo Thiers przyjmują świetne i wyborowe towarzystwo, na obiadach, które są przedmiotem podziwu dla tych, co tam są, a zazdrości dla tych, którzy tam być nie mogą? Czy na wystawę hippiczną, gdzie amatorowie koni mają pole do okazania swego konesorstwa, a gdzie cały Paryż biegnie dla tego, że już tam był pan Thiers? Zostawmy obiady i konie, zostawmy nawet na później pogadankę o mającej się otworzyć wystawie sztuk pięknych, czyli salonie, do którego panowie jury wstępu wzbronili obrazom znakomitego malarza-realisty Courbeta, z powodu, że tenże do komuny należał, a wejdźmy do Sorbony, gdzie na dniu 4. kwietnia miało miejsce rozdawnictwo nagród zasłużonym członkom uczonych towarzystw we Franryi. Między laureatami zwracało uwagę na siebie dwóch. Pierwszym był pan Bousseresq, profesor w Gap. Ten bez zasobów, zdala od ognisk nauki, własnymi siłami doszedł do niepospolitej wiedzy i znakomych zdobyczy na polu mechaniki i metalurgii. Drugim był pan Grandidier. Temu zawdzięcza Francya bardzo dokładne zbadanie wyspy Madagaskaru.

W świetnej mowie p. Jules Simon (minister oświecenia) wykazał smutny stan Francyi pod względem naukowym. Mimo tylu zasobów nauki, inteligencji, odwagi, ubodzy jesteśmy — mówił — w pierwsze przybory, narzędzia, warsztaty naukowe. W Paryżu przepadają kolekcye po muzeach dla braku miejsca na rozłożenie ich. Szkoła medycyny nie ma gabinetu fizyki. Szkoła praktyczna jest „Kloaką,“ szkoły farmakopejskiej tak jakby nie było. Na prowincyi nie lepiej, w Grenoble fakultet naukowy instalowany jest w jednym kącie targu zbożowego i służy za passaż tym, co chcą sprzedawać lub kupować mąkę; i to w chwili, kiedy sąsiedzi i rywale nasi z podwojoną gorliwością sprawą oświaty się zajmują, a Prusy znakomitszych swych profesorów szlę do Strasburga.

Francya nie chce pozostać w tyle. Bordeaux, Lyon, Nancy, Montpellier, Reims, Bouen, Nantes, wołają do nas o fakultety medyczne, inne ofiarują się z gotowością ponoszenia kosztów na ich utrzymanie. Nie godzi się zatem, mimo wielkiej potrzeby ekonomii, ekonomizować kosztem przyszłości Francyi i sprawy postępu.

Tak mówił Jules Simon, mowę jego oklaskami okryto, a my uważamy ją za szczęśliwy zwrot w kierunku opinii narodowej. Francya dotąd uważała się za przodownicę w pochodzie cywilizacji, dziś zaczyna się domyslać, że do zostania nią rzeczywiście potrzebuje światła, zakładów naukowych, szkół i szkółek jak najwięcej. Pan Jules Simon, będąc jeszcze na ławie opozycji, tyle mówił i tak pięknie pisał o potrzebie oświaty, że dziś, będąc tej oświaty szafarzem oficjalnym, obowiązany jest więcej niż inni na tem stanowisku, słowo w czyn zamienić.

Zadaniem naszym jest śledzić fakta i pojawy odnoszące się do naszej ojczyzny, lub jakikolwiek pośredni czy bezpośredni stosunek z polskością mające. Zadanie to w terażniejszej chwili jest poniekąd uciążliwe i przykre. Ta sympatyczna duchowa nić, co nas od dawna z Francją łączyła, nieprzerwanym wątkiem snuje się dalej. Ci, co o jej zerwaniu mówią i na Francuzów piorunują, myślą się i fałszywie rzeczy pojmują. Francya i Polska nieprzestały być siostrami z ducha i z przeznaczenia, wytkniętego im na jednej drodze ku postępowi i prawdzie. Nieubłagana logika, wyprowadzająca następstwa z przyczyn, przyprowadziła Francją do upadku, i oto dziś ten dumny naród znalazł się w poniewierce, imię Francuza jest wyszydzane, naigrawają mu ci, co niedawno czołem przed niem uderzali; i to jest powodem, że i Polacy, w dzisiejszej chwili, są bardzo źle na zachodzie widziani. Mylnie jednak twierdzą, że naród francuzki odwrócił się od nas. Nazywają nas komunistami, petrolczykami i nie wiem czem panowie Sardou i Dumas syn; sfery ohcyalne radeby nas w łyżce wody utopić; a że te sfery przygniotły chwilowo masy, więc wydaje się, że niesprawiedliwości tej względem nas cały naród jest przyczyną. Miło też jest, w tak smutnem położeniu, uchwycić czasem jakiś głos sympatyczny, który przypomni, że nie wszystko zmartwiało pod tchnieniem reakcyi, i że na dnie sumienia Francyi ukrywają się dla nas uczucia sprawiedliwości i przyjaźni bratniej.

Osobistościami, które nam te myśli nasunęły, są pan i pani Lacombe: małżeństwo, obdarzone nie tylko niepospolitym talentem muzycznym, lecz przytem i wszechstronnem wykształceniem i wyższym poglądem. Mieliliśmy sposobność przeszłej zimy być obecnymi na konferencyach dawanych przez tę parę, tu w Brukselli. Konferencyj tych celem jest, za pomocą sztuki uprzystępniać wiedzę, wprowadzać ją do serca i duszy słuchaczy sposobem niejako przekradanym; bawiąc, zachwycając, uczyć.

Pan Lacombe bierze, na przykład, za treść konferencyi kwestyą spiewów ludowych i narodowych melodyj. Mówiąc o tym niby ściśle artystycznym przedmiocie, umie wnikać w ducha narodu, naszkicować jego historyę, uwydatnić fakta i postacie wybitne, rysujące się na tle dziejowem, wskazać punkt, z którego wyszedł, i cel, do którego dąży lub dążyć powinien; i tak z artysty przerasta w twoich oczach prelegent w obywatela, patriotę, filozofa. Na poparcie swych twierdzeń tłumaczy to, co powiedział, dźwiękami, siada do fortepianu, i z pod palców jego wypływa powódź tonów, które zda się mówią dalej to, co on przed chwilą wypowiadał słowami. Albo też pani Lacombe spiewa i czarującym swym głosem rozjaśnia to, coby się mogło wydać niezrozumiałem w wykładzie jej małżonka. Przyznajcie, że jest to nowy wcale sposób uczenia, niemający żadnej do nauki pretensyi. Istna kontrabanda, któraby może nawet oburzyła niektórych systematycznych ludzi porządku. Cóżkolwiek bądź, państwo Lacombe mają powodzenie ogromne wszędzie, gdzie się pokażą. Obecnie dają oni konferencye w Paryżu. Na ostatniej p. Lacombe zelektryzował serca słuchaczy omotaniem tą nicią sympatyczną, o której wspominałem, dwóch dusz siostrzanych: Francyi i Polski. Mówiąc o Polsce, jej muzyce, jej poezyi; tłumacząc Mickiewicza,

grając Szopena, dobywał z serca takich słów, z fortepianu takich dźwięków, iż zdolał na chwilę jakoby uwidomić ducha naszej nieszczęśliwej ojczyzny i wszystkie jego piękności przedstawić oczom słuchaczy zdziwionych i zachwyconych.

Drezno, w maju.

(Prace emigracyi. — Upadek dziennikarstwa pod względem języka, formy i treści. — Próbką języka prusko-polskiego. — Materiały do historii końca XVIII. wieku. — Listy Kołłątaja. — Zbiór aktów Kościuszki. — Historia Morawskiego. — Książka zbiorowa: Co Bóg dał. — Nadgroda dla włoskiego tłumacza poezyj Lenartowicza. — Prace artystyczne i literackie Lenartowicza i B. Zaleskiego.

Ktokolwiek sobie przypomni owe czasy między r. 1840 a 1850, które dziś bardzo się nam dziwnie wydają — prawda, że też to ówczesny wiek pędzonego machiną parową — przyjdzie mu na pamięć pewnie, jakieśmy to się rozbijali a ciekawili na te ćwiartki papieru, które ówczesna emigracja w Paryżu i Londynie wydawała. Pod panowaniem rosyjskiem, gdzie one surowo były zakazane, niejedyn młody człowiek poszedł w Sybir za przechowywanie tych drogo nabytych druków, z których swobodnie wiał gorący dech miłości ojczyzny. Dziś, emigracyi tak prawie jak nie ma, głosy jej ucichły; nawet nieboszczyk Mierosławski milczy, a za granicą próbowane wielokrotnie wydawnictwa nie obudziwszy najmniejszego zajęcia w kraju, ucichnąć musiały. Jestto znamieniem zwrotu nieochybnie bardzo pożądanego i zdrowego pojęcia o zadaniach prac narodowych, które się o własnej myśli na własnym gruncie dokonywać powinny; ale nie godzi się też emigracyi, z konieczności, odmawiać prawa myślenia i mówienia, ani braterską rzeczą gardzić sobie i lekceważyć, co nam od niej przychodzi. Nigdyśmy obojętniejsi nie byli na objawy myśli i przekonań, niż dzisiaj, pisze się niezmiernie wiele, czyta nadzwyczaj mało. Mamy tego codzienne dowody w naszej prasie peryodycznej, zdradzającej powtarzaniem rzeczy znanych i bąkami, które strzela, taką nieświadomość tego, co się w naszym świecie dzieje, że się często za nią rumienić przychodzi. Dzienniki powtarzają się, wypisują, popelniają omyłki, mogące stać na równi z francuskiej żurnalistyki bąkami, a w redakcyach pracy samoistnej, sumiennej tak mało, że jej nie widać prawie. Z wyjątkiem kilku pism, dziennikarstwo pod względem języka i formy i treści jest w upadku widocznym, a może nieporatowanym, bo nie ma w niem poczucia błędu i smaku. Obok najlepszych rzeczy najgorsze, pracy radaktorskiej nie czuć, zszywanie tylko i łatanina. Ale na ten los zrezygnować się należy, rosnące pokolenie najmniejszej do tego nie przywiązuje wagi, bo go literatura i język wcale nie obchodzi. Pomińmy więc z westchnieniem to pobożowisko, na którym pogrzebiono lepsze czasy... Oto nowe dwa, a nawet trzy zjawiska próbującej zwiastować życie swe emigracyi: ze Szwajcaryi, Głos Polski, z Pesztu, Tygodnik polski na węgierskiej ziemi, z Ameryki, Swoboda. Ta ostatnia byłaby monstrualną, gdyby nie była charakterystyczną... Nie ma w niej ani ortografii, ani żadnego kunsztu, lecz to wyraz właśnie literatury, do której dążymy. Chodzi nam o interesa, o realne potrzeby i pożytek, więc wszystko jedno, w jakim się języku o nie rozprawiamy, w amerykańsko-polskim Swobody, czy w prusko-polskim szacownego Pruskiego przyjaciela ludu.

A dla rozweselenia czytelników naszych powinniście kiedy niekiedy, choć w kątku, dawać wyjątki z Przyjaciela; czy może być coś zabawniejszego nad ten styl i język, który w Królewcu za polski uchodzi. Posłuchajcie malej tylko próbki.

„Imśc Najjaśn. Cesarz i król 10. Apryla od małego nieszczęścia na podnięty został. Tenże pan niby przysturchnął nogę, wystąpiąc z woza, chcąc pani engielskiego posłańca Rusła nawiedzać. Szczęśliwem sposobem owe przysturchnienie tylko było słabe. Teraz są wiadomości koło zdrowia Najjaśn. Imci dobre. 11. Apryla było w królewskim pałacu muzykalnych zabaw. W ciągu naśladojącego przedpołudnia przyjął Najjaśn. Imość rozpraw gabinetu cywylnego i wojskowego.“

Ale tego dosyć, posyłam jeden numer woryginałe dla użytku Redakcyi. Rząd pruski pomimo to utrzymuje, iż nauka języka polskiego w krajach polskich jego berłu podległych, zbyt daleko ze szkodą niemczyzny jest posunięta...

Mnożą się nam materiały pożądane do historii końca XVIII. wieku, obrabianej wprawdzie, lecz dotąd zaledwie w głównych i suchych znanej zarysach. Żupański wydał dwunasty tom zbioru pamiętników, zawierający bardzo ciekawe listy Kołłątaja, pisane z emigracyi w latach 1792—1794, zebrane przez p. Lucyana Siemieńskiego. Jest ich stokilkadziesiąt, pełnych szczegółów nowych i malujących ks. Kołłątaja w epoce po 3. maja z wyrazistością niezmierną. Życie tego człowieka ma w sobie oddzielne, różnie scharakteryzowane epoki: krakowską reformy akademii, warszawską Sejm czteroletni, emigracyjną, rewolucyjną 1794... dalej więzienną i wegetacyjną, która się ciągnęła aż do śmierci jego w Warszawie. Niemcewicz pisze, iż gdy zmarł ubogi i zapomniany, na prostym wozie wywieziono trumnę na cmentarz, i nikt za nią nie poszedł, nikt, nawet potomkowie Dekertów i Rafanowiczów, którzy mu pierwsze prawo mieszczan winni byli. Nie lubiono Kołłątaja wogóle, chociaż się nim posługiwano, a Engeström w pamiętnikach przywodzi anegdotkę o sekretarzu nuncjatury rzymskiej w Warszawie, który gdy o Kołłątaju mowić zaczęto w ogrodzie u pani krakowskiej — szeptał ciągle — Birbantel birbante! Nagle słyszy, jak ktoś powiada, że go wczoraj król podkancelerzem mianował, i zmieniając głos kończy Włoch ostrożny — Galantuomo! Galantuomo!

Listy Kołłątaja po raz pierwszy jasno malują stanowisko jego względem konfederacji targowickiej... Każdy, kogo obchodzą dzieje czasów ostatnich, przeczyta je z żywym zajęciem... Do tejsze epoki należy zbiór aktów — odezw i raportów Kościuszki, przez p. Ludwika Nabelaka wydawany w Paryżu, staraniem Wł. Mickiewicza, i Dzieje Tadeusza Kościuszki przez Jenaręła Paszkowskiego, drukowane w Krakowie. Pomimo Rychlickiego, Paszkowskiego i Siemieńskiego życie Kościuszki pozostaje do napisania. Konkurs wyznaczony przez Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu przeszedł bez skutku. Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu teraz dopiero rozdało nagrody za rozprawę o Unii, na którą lat dwa czekało, i za najlepsze dzieło historyczne, którem uznano historią Teodora Morawskiego. Przeciwno wyrokowi temu żaden sumienny człowiek apellować nie będzie. Nie mamy pracowniej i troskliwej wykonanego dzieła nad histor. Morawskiego. Jest to podręcznik,

bez którego się nikt obejść nie potrafi. Już jako skazówka źródół jest Morawski nieoszacowanym, bo je wyczerpał wszystkie...

Milem dla nas zjawiskiem była książka polska wydana w Kijowie, pierwsza obszerniejsza w tym języku od r. 1864. Jestto zbiór prac różnych, dobrze zatytyłowany — Co Bóg dał. Wydawca p. J. M. Ejsmont, oprócz własnych pomieścił tu artykuły młodzieży i starszyny (jak się zdaje), w milczeniu przeżywającej lata prześladowania i głuchego zdrętwiąłego, przymusowego spoczynku; książka spora do czterechset stron, z nutami i ilustracjami, zawiera, jeśli się nie mylimy: prace Pługa, Koronowicza, Nowosielskiego, Alex. Grozy. Większa część ich bezimienna, bo tam teraz przyznać się do pisania po polsku rzecz niebezpieczna, język jest rzeczą zakazaną!!

Dziwne wrażenie robi ten zbiór, coś jakby głos z grobu, jakby jęk z mogiły, jakby biesiada upiorów, jakby dalszy ciąg rozmowy przerwanej w r. 1864 krwią i mordem... Już sam spis przedmiotów ciekawy i nauczający: Byron, sceptyk, kosmopolita i zwiastun socjalizmu; O materyalizmie w nauce i w życiu; Miłosierdzie — strona czynna potęgi miłości.

Nikt nie posądzi autorów o zbytne rozmiłowanie się w pozytywizmie, starzy to marzyciele nałogowi, lecz miło ich posłuchać, a Kijów na okładce, z rokiem 1872, jakże to

rozrzewniające w swej prostocie wyrazy! — Zewnętrzna fizyognomia nie europejska, format, druk, papier, litografie jakby z r. 1840... niektóre pomysły także do tego czasu należą, a mimo to, ten powrot do życia uparty, wytrwały, jest czemś tak poszanowania godnem, że choćby autor Rosyi i Polski i p. Leśniewski mieli się z nas śmiać, my bijemy czołem przed poczciwą tą protestacją za prawami naszymi do życia.

Tłumacz poezyj Teofila Lenartowicza, profesor Hektor Marcucci, otrzymał za tę pracę nagrodę 1800 franków, z summy na zachętę do literatury, kunsztu i przemysłu wyznaczonej corocznie przez florencką Banca del Popolo. Żeby tylko nasze banki, uchowaj Boże, tego niepraktycznego rozsytywania pieniędzy naśladować nie chciały!! Lenartowicz pracuje nad odlaniem głowy Ś. Jana, dla hr. Żółtowskiego, i zapewne nad wielkim swym poematem, o którym teraz jeszcze nie wolno nam nic powiedzieć. Taki wielki poemat dojrzewa też w tece Bohdana Zaleskiego; i o tem milczeć trzeba, czasy też nie na poematy, ale na banki i spekulacje... Poezyą wyrzuciliśmy na strych... Nie się jej nie stanie... Kończę wieszając wam przybycia Seweryna Goszczyńskiego... oby spoczął na ziemi rodzinnej nie czując, jak bardzo się zmieniła od czasu, gdy ją opuścił.

J. I. KRASZEWSKI.

ZE SWIATA.

(Błazny carowej Anny.) Jednym z najkrwawszych epizodów w historii Moskwy w zeszłym wieku były bez wątpienia rządy łagodnej wprawdzie ale niedoleżnej carycy Anny, córki Iwana, głupkowatego brata Piotra I., który też z początku dzielił z nim rządy. Skutkiem swej niedoleżności powierzyła ona rządy zupełnie swemu ulubieńcowi, byłemu parobkowi stajennemu, Bühren, który przywłaszczył sobie nazwisko Birona, ażeby się zdawało, że pochodzi ze starej francuzkiej rodziny szlacheckiej, a którego Anna wyniosła do godności księcia Kurlandzkiego. Ten wiedząc, że lud moskiewski go nienawidzi, chciał grozą zmusić go do uległości, i w istocie też były jego rządy prawie tak okrutne, jak Tyberyusza, Nerona i innych tyranów. Niekiedy pomimo odosobnienia, w jakim Annę trzymał Bühren, dochodziły ją jęki nieszczęśliwych; a chociaż nie śmiała ona pociągać swego ulubieńca do odpowiedzialności, to przecież, dręczona wyrzutami sumienia, stawała się w ostatnich latach życia coraz drażliwszą; straszne jakieś widziadła przerywały jej nocny spoczynek, i starała się ona przeto postami, dolegliwą pokutą, a następnie znów huczniemi festynami zagłuszać swoje sumienie. Najwięcej jednak mieli ją podług ówczesnego zwyczaju rozrywać trefnisie nadworni. Tacy trefnisie byli wtedy w modzie na wszystkich dworach; Piotr I. miał ich dwunastu, a każdy magnat przynajmniej jednego. Caryca Anna utrzymywała sześciu trefnisiów, z których trzech należało do bardzo znakomitych rodzin i za karę zdegradowani zostali na błaznów. Można sobie wyobrazić, jak gorzkimi i złośliwymi musiały bywać ich żarty. Pomiedzy błaznami Anny był jeden z rodziny książęcej, któremu poruczyła ona dozór i pielęgnowanie swoich wyżłów. Życie tych błaznów było tedy

bardzo smutne, gdyż karano ich surowo i chłostano nieraz niemiłosiernie, jeżeli caryca była w złem usposobieniu i nie mogli jej rozerwać, lub jeżeli ich dowcipy nie podobały się dworakom.

Zdarzało się wówczas, że ten lub ów znakomity człowiek, jeżeli w czemś wykroczył, mianowany bywał za karę carskim błaznem nadwornym (po moskiewsku: szedł w duraki), i musiał potem bawić tych, którzy dawniej nisko mu się kłaniali, ale nawet znosić w milczeniu ich razy, jeżeli bywali w złem usposobieniu. Taki los spotkał także pewnego księcia Galiczyna, którego liczna familia musiała w ciągu panowania Anny znosić rozmaite i okrutne prześladowania, ponieważ Bühren nienawidził wszystko, co tylko nosiło nazwisko moskiewskie. Ów książę Galiczyn przeszedł był za granicę do kościoła rzymsko-katolickiego, co podług ustaw moskiewskich było surowo zakazane. Za powrotem więc do kraju został pozbawiony swoich orderów i godności i zdegradowany na pазіа a zarazem na błazna nadwornego. Jego żona umarła ze zgryzoty, a Bühren skorzystał z tej sposobności, by wyrzucić swoje złość na szlachcie moskiewskiej, która nim gardziła, zemścić się jej upokorzeniem, a zarazem sprawić rozrywkę carowej. Oto musiał Galiczyn, chociaż miał już czterdzieści kilka lat, ożenić się z młodą dziewczyną z gminu, a caryca pokryła koszta weselne.

Byłoto w zimie r. 1740, a zima była tak ostra, jakiej od wieków już nie zapamiętano w Moskwie. Na lodach Newy, właśnie przed dzisiejszym pałacem zimowym, wzniesiono pałac z lodu, w którym na podwyższeniu umieszczono łożo małżeńskie, zrobione również z lodu; wszystkie meble i ozdoby były z tego samego materiału, jak również cztery działa i dwa

moździerze, które stały przed pałacem lodowym, i z których strzelano kilkakrotnie bez najmniejszego ich uszkodzenia, ponieważ były wewnątrz opatrzone żelaznym cylindrem. Opowiadają — co jednak nie jest dowiedzionem, — że Bühren kazał kilku członków odkrytego wówczas, a przeciw niemu wymierzonego spisku partii moskiewskiej, na której czele stał osobisty jego nieprzyjaciel, minister Moleński — rozebrać do naga i tak długo polewać wodą, aż się zamienili w statuy lodowe, i tak ustawieni zostali przed owym pałacem. Gubernatorowie wszystkich najodleglejszych nawet prowincyj otrzymali rozkaz, ażeby z każdej narodowości carstwa moskiewskiego przysłali po kilka osób obojga płci na to wesele do Petersburga, gdzie kosztem carycy przybrano je w nowe suknie narodowe. Korowód weselny, złożony z 300 prawie osób, przechodził najgłośniejszymi ulicami stolicy i przed pałacem carowej; rozpoczynali pochód oboje nowożeńcy zamknięci w klatce i przywiązani do grzbietu słonia. Niektórzy goście jechali na wielbłądach, reszta parami w saniach, do których zaprzężone były reny, capy woly, psy, nawet nierogocizna. Ucztę godową przygotowano w ujeżdżalni Bührena, i każdą narodowość raczono tam jej ulubionymi potrawami. Po uczcie nastąpił bal, przyczem każda para musiała popisywać się z swym tańcem narodowym. Wkońcu odprowadzono nowożeńców do pałacu lodowego, powitano salwą z dział i zamknięto tam pod strażą, by nie uciekli.

Carowę ubawił wielce ten wyskok dowcipu stajennego, a zdegradowany na błazna ksiądz musiał znieść cierpliwie to upokorzenie, jak jego koledzy musieli znosić wiele innych szaleństw Anny i jej kochanka.

(Cudowna małpa.) Dziennik indyjski „Western Star,” znany z swego zamilowania w cudownych rzeczach, opowiada zajmującą historią o odkryciu kilku morderców, która, jeśli jest prawdziwą, może wybornie posłużyć Darwinowi na poparcie jego teorii. Oto wypadek był następujący: Pewien zamożny obywatel w Madras miał małpę, którą bardzo lubił. Zmuszony wyruszyć w daleką podróż, zabrał z sobą pieniądze i klejnoty i wyjechał w towarzystwie swej małpy. W drodze napadło go kilku łotrów, czatujących na niego. Zamordowali go, zakopali pieniądze, a ciało wrzucili do wyschłej studni i przykryli chrustem. Małpa, która w chwili napadu uciekła na drzewo, widziała to wszystko, i gdy mordercy się oddalili, pospieszyła do domu najbliższego mieszkającego Tohsildora (wójta). Krzykiem i jękiem ściągnęła na siebie uwagę tego urzędnika, i swojemi ruchami dała mu do zrozumienia, żeby się udał za nią. Przyszedszy do studni, wskazywała nadół, i gdy Tohsildor kazał spuścić się tam kilku ludziom, wydobyto zwłoki zamordowanego. Potem wskazała ludziom miejsce, gdzie pieniądze były zakopane, a w końcu poprowadziła ich do bazarów, i jak tylko spostrzegła którego z morderców, biegła za nim, kasała go w nogę, i nie odstąpiła, dopokąd go nie uwięziono. Tym sposobem schwytano wszystkich morderców. Wyznali oni już swoje zbrodnię, i w krótkce mają być stawieni przed sądem przysięgłych w Tellichorry. Dziennik „Times of India” robi przytem uwagę, że cudownej tej małpie należałoby nadać godność i tytuł inspektora policyjnego.

(Drzewo boskie czyli cudowne *Ailanthus glandulosa*), przewyższa szybkością wzrostu wszystkie północne drzewa, a nawet topolę i wierzbę. W przeciągu 18 miesięcy wyrósł wyhodowany z nasienia egzemplarz tego drzewa w pewnym ogrodzie północnych Niemiec do wysokości 12 stóp i rozwinął okazałą koronę. Drzewo to jako materiał nie wiele warte, ale obfituje ono w garbnik, a liście jego są bardzo przydatne do hodowania jedwabników. Najpożyteczniejszem jest ono dla szybkiego wzrostu swego, gdyż tym sposobem można prędko rozległe i puste płaszczyzny okryć przyciągającym wilgoć i chroniącym od suchych wiatrów zarostem, pod którego ochroną mogą potem wzrastać i aklimatyzować się delikatniejsze i szacowniejsze drzewa. Z tego powodu sieją je teraz bardzo obficie na bezdrzewnych zresztą stepach południowej Rosyi, a także na stepach węgierskich byłoby hodowanie jego bardzo korzystnem.

(Człowiek ilustrowany.) W Paryżu pokazuje się teraz pewien Albańczyk, imieniem Demiuros, którego pojмали rozbójnicy chińscy, piętnowali od stóp do głów i puścili potem na wolność. Ciemno niebieskie figury zwierząt i roślin okrywają ciało jego od czuba aż do pięty, a przedziały między nimi zapełnione są pismem niebieskiem i czerwonym, którem okryte są także ręce jego po obu stronach. Figury niebieskie sięgają aż do kostek u nóg; ale także cała stopa, a nawet paznogie są pomalowane czerwonym pismem. Również pod włosami na głowie i na brodzie widać niebieskie rysunki. Na czole i na obydwu skroniach wyklute są pantery przedzielone czerwonym pismem. Wszystkich figur jest 388, a są to małpy, lamparty, koty, tygrysy, osły, sfinxy z koronami, bociany, łabędzie, mężczyźni, kobiety, słonie, krokodyle, węże, ryby, lwy, żółwie, owoce, liście, kwiaty, łuki, sajdaki i strzały. Człowiek ten liczy teraz 45 lat.

(Śledź kojarzycielem małżeństw.) W Irlandyi przypada najwięcej ślubów małżeńskich w takich latach, kiedy jest urodzaj na kartofle, u rybaków zaś na wybrzeżu szkockiem, gdy połów śledzi jest obfity. Tak było właśnie w trzecim kwartale r. 1871, i registrator w Fraserburghu podaje wartość złowionych śledzi na 130,000 funtów szterlingów. Zaraz też zabrano się do żeniaczki, i zawarte w trzech miesiącach małżeństwa przewyższyły o 80 procentu zwykłą cyfrę przeciętną. W okręgu Tarbat był połów zły, i tam też nie zawarto ani jednego małżeństwa. To samo wydarzyło się w okręgu Lochgilphead. „No herring, no wedding!” (nie ma śledzi, nie ma wesela) powiada przysłowie szkockie.

(Oczy Rafaela.) Gdy Rafael malował sławne freski swoje w Watykanie, była Fornarina, królowa jego serca, nierozdzielną jego towarzyszką i niejako geniuszem, który obudzał natchnienie artysty. Papieża jednak gniewała ta namiętność malarza, i ciągnęła obecność córki piekarza w Watykanie razila go tak dalece, że pragnął ją oddalić ztamtąd. — „Co to za dziewczyna?” — spytał pewnego dnia Rafaela opryskliwym głosem. — „Jeżeli Wasza Świątobliwość pozwoli mi odpowiedzieć” — odparł z zapalem nieśmiertelny artysta — „są to moje oczy!” — Papież umilkł i odszedł, a Fornarina pozostała geniuszem artysty.

Kącik humorystyczny „Strzechy.”

Wyższość instynktu.

(Wiersz znaleziony w skarbonce oświaty ludowej.)

Dziwna, że ćmy, ćmy owady,
Do światła skrzętnie się garną,
Chociaż najczęściej im przyjdzie
Przypłacić to śmiercią marną.

Inaczej całkiem się dzieje
W sferze moralnej człowieka,
Bo tam, co ćma, to najskrzętniej
Właśnie od światła ucieka...

O ćmo! ty ślepy owadzie,
Goniący za jasnym celem:
Mamże rzec, żeś instynktowo
Najlepszym obywatelem?

B. K.

Tragiczny motyw.

Księżyc namarszczył brwi,
Wiatr zdala niesie echa burzy;
Och, wszystko dzisiaj źle nam wróży!
Miły! twe oko skrzy...

Zgryzotę jakąś masz,
Co łamie twoją wzniosłą duszę!
Widzę to w spojrzeń zawierusze...
O, ty odwracasz twarz?!

Wiem: ciężki z życiem bój,
Zawody — niosąc chwilę ciemną,
Więc podziel z duszą ci wzajemną
Ten swój serdeczny znój!

— Miła! nic mi z twych łez!
Zginałem — niecofnione losy...
Ty nie wiesz — o! — że na anglosy
Straszna dziś przyszła baissel..

B. K.

Wspomnienie przy lodach.

Właśnie kiedym ją gorąco
O rozmowy chwilę prosił,
Zbyt usłużny lokaj lody,
Śmietankowe lody wnosił.

Mrozem przeszła atmosfera,
Już na ustach zmarzły słowa —
I nie jadłem wcale lodów,
I urwała się rozmowa...

Lody! śmietankowe lody!
Strzegłyście mnie od zatrady,
Że nie popłynąłem wówczas
Na — ocean lodowaty!

B. K.

Fraszki.

Pewien młody śpiewak zakochał się w córce bankiera
i prosił o jej rękę.

— Ja pragnę dla mej córki statecznego męża, któryby ją
wiernie kochał, a wy, panowie artyści, nie macie tego zwy-
czaju — rzekł zimno ojciec.

Śpiewak zapewniał, że nie ma wierniejszego serca pod
słońcem, niż jego.

— Co pan grasz dzisiaj? — spytał ojciec panny po krótkim
namyśle.

— Śpiewam Don Juana.

— Dobrze; będę widział, jak pan grasz, i odpowiem panu
potem stanowczo.

Opera się skończyła; śpiewak pełen oczekiwania pospie-
szył do sali gościnnej, gdzie bankier czekał na niego.

— I cóż, jakże się panu podobałem? — zapytał ciekawie.
Przyszły teść uściskał czule artystę, pocałował go w oba po-
liczki i zawołał: „Dostaniesz moją córkę, bo się przekonałem,
że nie jesteś Don Juanem.“

Sędzia: Więźniu, jesteś oskarżony, żeś sprzątnął ze-
garek wartości 300 talarów.

Obżalowany (z wyrazem głębokiego smutku:) Widzisz
pan, panie prezydencie, jak ja nie mam szczęścia do niczego!
Pierwszy raz w życiu chciałem spełnić dobry uczynek, i zaraz
mi to za złe wzięto!

ODPOWIEDŹ NA ZAPROSZENIE DO PARTYI PIKIETA.

(Pannie K. P.)

Życie ludzkie — to karty,
Które w rękę uparty
Los trzyma;
Człowiek z dolą się biedzi,
I krwawemi grę śledzi
Oczyma.

W tę i w ową je stronę
Rzuca fatum szalone,
Niegrzecznie!
Gdy się nazbyt rozhula:
Kto chce damy — ma króla,
I sprzecznie!

Szczęście stoi na zdradzie!
A na karty człek kładzie
Swe mienie...
Wszystkie mary swe złote:
Miłość, życia istotę,
Sumienie.

I ani go nie boli,
Że fortuna swawoli,
Nędznica.
Przegra... O to nie pyta!...
Wszak w kieszeni nabita
Krucica!

Lecz najstroższa tam męka,
Kiedy karty te ręką
Ma biała...
I los życia na szalę
Gry tej rzuca niedbale,
Zuchwała.

Będę z panią otwarty!
Wszystko stawię na karty,
Niestety!
Lecz niech żadna nie leży
W dłoni, co los mój dzierży,
Kobiety.

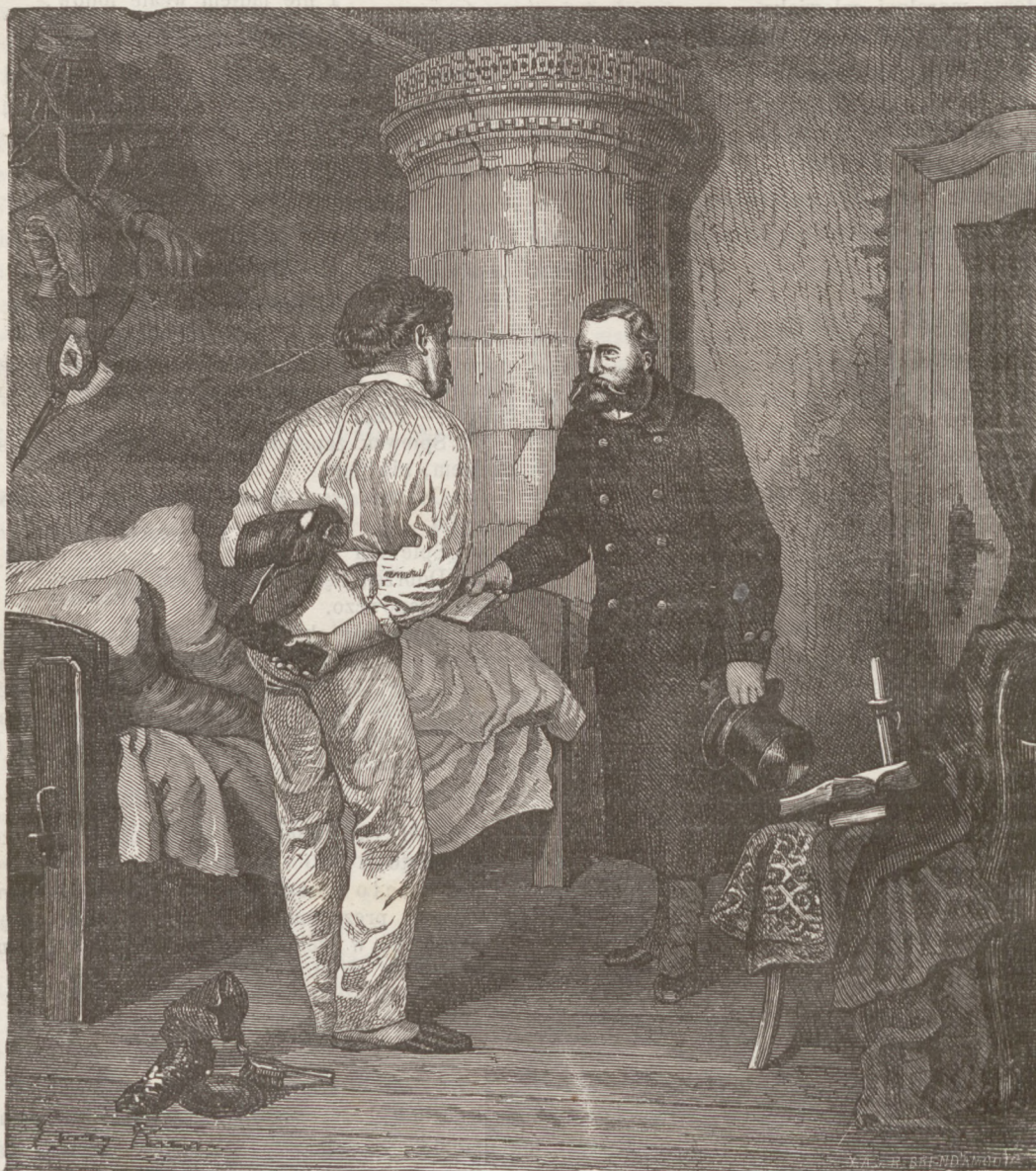
Wł. BRZEA.

DEMOKRATA W KŁOPOTACH.

Pan N., młody kandydat adwokacki, jest zaciętym demokratą. Niejednokrotnie już wyznał to publicznie wśród rzeszystych oklasków galerii. Jakiemi zaś drogami dostały się jego demokratyczne stopy na salony hrabiny Z., historia to nam dopiero wyjaśni. Wiadomo wprawdzie powszechnie, że hrabianka Z. oprócz dziewięciopalczkowej korony posiada parę płomiennych szafirów, jak i to, że nawet młody demokratą mieć może łatwo zapalne serce; o ile jednak notoryczne prawdy te stoją w związku z ślizganiem się butów pana N. po gładkiej posadzce salonu hrabiny Z., pozostanie zapewne długo jeszcze

ich wyczyszczenie. Raz — dwa: otóż czysty już jeden — dalejże drugi na rękę, obnażoną po łokieć. Pokazuje się, że sztuka twoja Wojciechu nie jest tak niedostępną... A! otóż i Wojciech — to jego chód słyhać na schodach: — Wojciechu!.. A niechże cię! to lokaj hrabiny Z.!

Sytuacja młodego demokraty jest prawie okropną. Zdradzić się przed fagasem, że sam sobie buty czyści, ażeby rozgłosił to, i złośliwa hrabina i sztywna hrabianka dowiedziały się... ha, lepiej umrzeć! — W mig ręce, z butem jedna a ze szczotką druga, schroniły się za osobę, która wychylona ku



sajemnicą. Zamierzamy tutaj tylko przypomnieć głośną zresztą w swoim czasie historią o próbie, na jaką pana N. naraziły te jego demokratyczne buty.

Jest godzina 9 zrana — dla pana N. pora udania się do bióra, wstąpiwszy przedtem jeszcze na kawę. Od godziny nie spi nasz demokratą, łając w duchu współobywatela Wojciecha, służącego. że nie przychodzi wyczyścić butów. Czas uchodzi — ha! wkrótce termin w sądzie; nie ma rady, trzeba samemu wziąć się do butów, gdyż o ileby dżentelmenowi ubliżył pył zeszlodniowy na nich, o tyle demokracji nic nie ubliży

wchodzącemu mówi piorunami:

— Bilet od hrabiny? Poznaję zdaleka pismo! Dajże — albo lepiej połóż na łóżko — i uciekaj — uciekaj — bo chory jestem, mam napad — bywaj zdrow!

Lokaj odszedł, zdziwiony zapewne nie mało dziwnem znalezieniem się pana — lecz ten długo jeszcze ochłonąć nie mógł z ambarasu, w jaki go wprowadziła demokratyczna chęć wyręczenia Wojciecha, i podobno dnia tego nie pokazał swych pysznie lśniących butów posadzce salonu hrabiny Z., dokąd zapraszał go bilet.